



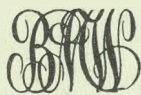
PLEJADA
POLSKA

PLEJADA POLSKA,

WYDANA STARANIEM

BOLESŁAWA MAURYCEGO WOLFFA.

Wydanie ozdobione drzeworytami.



PETERSBURG.

NAKŁADEM I DRUKIEM WYDAWCY.

—
1857.



Pozwolono drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej ilości egzemplarzy.

Wilno, 15 Lipca 1854 roku.

Cenzor: *Paweł Kukolnik.*

	str.
WIESŁAW, Kazimierza Brodzińskiego	5.
JAN BIELECKI, Juljusza Słowackiego	37.
LULI NIEMOWŁĘCIU IWONI, Bohdana Zaleskiego	73.
WIĄZANIE ANIELCE, Edmunda Wasilewskiego	83.
LIRNIK WIOSKOWY, Władysława Syrokomli	95.
PRZYGODY JP. BENEDYKTA WINNICKIEGO, Wincentego Pola	105.
WESELE, ŁZY, Antoniego Edwarda Odyńca	141.
SIEROTA, Ks. Ignacego Hołowińskiego	167.
SOBÓTKA, Seweryna Goszczyńskiego	177.



WIEŚLAW.

SELANKA KRAKOWSKA

WYDAWCA WYDZIAŁ KRAKOWSKI.

RYSUNKI M. FREDRY, J. KOSSAKA I L. STRASZYŃSKIEGO.





żoną Stanisław wychodzi z komory,
Wnosi do izby dwa pieniądze wory,
Czteryśta złotych ułożył na ławie,
Itak powiedział: „Zgarnij to Wiesławie!
Idź do Krakowa, a za te talary
Kupisz dwa konie i dobierz mi pary;
Już jedynaka w boju mi zabili
A mnie zgryzota i skrzętny wiek chyli,
Nie mam w niemocy poufać się komu,
Ty prawą ręką stałeś mi się w domu,
Po mojej śmierci, tyś rodziny głowa
Jeśli (daj Boże) córka się uchowa.
Ma lat dwanaście, nie skapo urody,
Możesz jéj czekać i twój téż wiek młody.“
„Tak jest, dla ciebie (Bronisława powie)

Strzegę téj córki, jakby oka w głowie,
(I pogłaskała Bronikę po twarzy,
Jéj pusty uśmiech na licach się zarzy.)

„A cóż droższego mieć możesz od matki?
Jedneć to moje przed grobem dostatki —
Miałam ja drugą — litościwy Boże!
Oko się za nią wypłakać nie może;
Zaledwie piąty owoc kwitnął sadu,
Gdy mi zniknęła bez żadnego śladu.
Już to dwunastym liściem wiatr pomiata,
Jak myśli matki zatruwa jěj strata.
Gdy wojna polskie dobijała plemię,
W pustkach wsie stały, a odłogiem ziemie,
W około lasów i wiosek pożary,
Gniewu bożego zwiastowały kary;
Z wiatrem, co strzechy i konary zwałił,
Do nas wróg przybył i wioskę zapalił.



Dzień to był sądu! wśród płaczu i gwaru,
Wśród ciemnej nocy, wichrów i pożaru,
Razem rolnicy ku obronie bieżą,
Razem się wojsko ciśnie za grabieżą, —
W tej walce z dymem poszła ojców strzecha.
Wtedy mi córka, jedyna pociecha,

Znikła bez śladu; przez długie ja czasy
Chodziłam za nią na wioski i lasy,
Lecz jako kamień do morza rzucony
Zniknęła wiecznie, głuche wszystkie strony.
Co rok do kłosów przychodzą oracze,
A ja dziecięcia nigdy nie zobaczę,
Niech Boska wola będzie Boska chwala!
Ciebiem ja synu za nią wychowała,
Bo gdzie sierota przyjęta pod strzechę,
Tam z niebem bliższy Bóg zsyła pociechę.
Może też moje utracone dziecię
Podobnie kędyś, opuszczone w świecie,
Litość znalazło, żyje gdzie u matki;
W tej ja to myśli, po twych ojców stracie,
Ciebie małego wychowałam w chacie.
Litość za litość — niebieska opieka.
Tajnie nagradza uczynki człowieka.
A jeśli ziemia strawiła jój kości,
Swobodna dusza w krainach przyszłości
Igra wesoło przy niebieskiej matce,
I łaskę nieba zwabia naszej chatce.“

Tu Bronisława zalała się łzami,
Zawsze łzy płyną za matki myślami, —
Płakała zaraz i córka przy boku;
A łzy mężkiemu nieprzystojne oku,
Kryjąc Stanisław karci smutek żony:
„Jaki los w niebie ludziom naznaczony,
Próżno się troskać, Bóg siedzi wysoko,
Nad całym światem baczne trzyma oko.
Wszak ci on ojcem wszędzie i na wieki,

Cóżby zdołało ująć jego opieki?
Lepsze nad smutek ufanie pobożne —
Idź, Wiesławowi przygotuj nadrożne.
A ty pośpieszaj i chroń się przygody,
Bo zawsze wiele ufa sobie młody, —
Przynieś twój przyszłej podarunek z drogi.“

Wiesław obojga kornie ścisnął nogi,
I wyszedł z chaty, przenikniony cały,
Że takich ojców niebiosu mu dały.

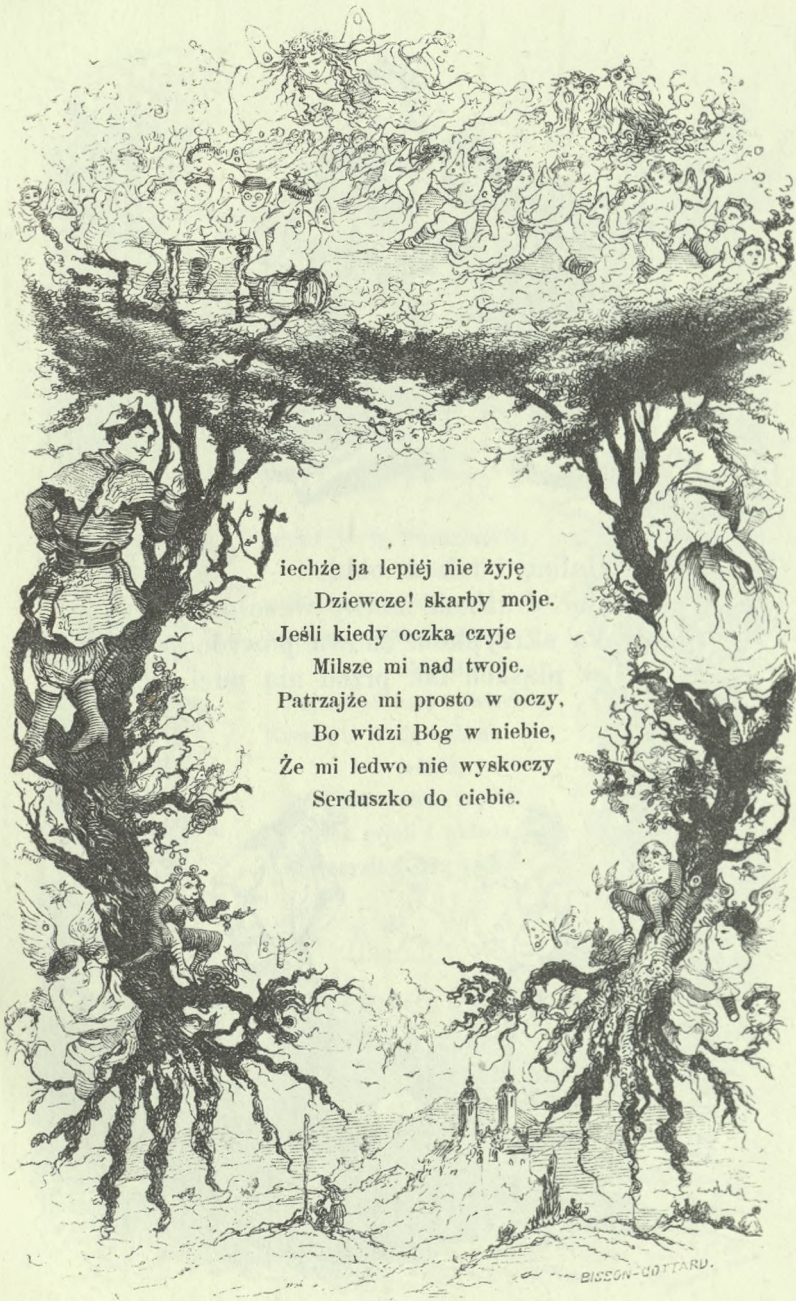




uż miły wieczór uśmiechał się ziemi
Gdy wracał Wiesław z końmi kupionemi.
Z przydróżnej wioski rozlega się granie,
Słysząc wesołe pąsy i śpiewanie,
Pryskając konie bieżą po gościńcu,
Widać dziewoje przy rucianym wieńcu,
Biją druźbowie w podkówki ze stali,
A gdy wędrowca mile powitali,
Tak rzekł Starosta zarządca wesela:
„Dobrze to w każdym znalesć przyjaciela!
Witajcie do nas wy z Proszowskiéj ziemi,

Nie chciéjcie gardzić dary ubogiemi,
Spożyjcie z nami, czém tu gospodarzy
Wdzięczna prac rola i dobry Bóg darzy.
Napatrzycie się Krakowskim dziewojom,
Rozlicznym tańcom i przecudnym strojom.

Wreszcie i w tany puścić się nie szkodzi.
Bo choć strudzeni, widzę żeście młodzi.”
Na to Halina przystąpiła młoda,
W całym weselu najpierwsza uroda,
Wstydzi się, wstydzi, jednak przed nim staje,
Ciasta z koszyka i owoc podaje.
„Obcy wędrowcze! jużci przyjąć trzeba,
Naszych owoców i naszego chleba.“
A przytém uśmiech jakowyś uroczy
Zwrócił na siebie wędrownika oczy.
I zwrócił tyle, że odtąd jedynie
Okiem i duszą został przy Halinie.
Wchodzi do izby na wesołe tany
Z kubkiem od družbów Wiesław powitany,
Potém Starosta zarządzca wesela
W te słowa družbom porady udziela:
„Juźci pierwszeństwo zostawcie obcemu,
Niech idzie w tany, niech téż po swojemu
Skrzypkom zanuci, dziewczoję wybierze,
Bo z obcym trzeba uczciwie i szczerze.“
Wziął sobie druchnę, której wdzięk uroczy,
Zwrócił na siebie wędrownika oczy;
Naprzód wychodzi: przed muzyką staje,
Halina w płasach rękę mu podaje,
Za nim się w koło młodzieńcy zebrali,
Nuca i biją w podkówki ze stali.
Wiesław się za pas ujął ręką prawą
I płasa lekko przed Haliną zwawą.
W skrzypce i basy sypnął grosza hojnie,
Ojcom za stołem skłonił się przystojnie,
Tupnął i głowę nachylił ku ziemi
I zaczął nucić słowy takowemi:



iechże ja lepiej nie żyję
Dziewcze! skarby moje.
Jeśli kiedy oczka czyje
Milsze mi nad twoje.
Patrzajże mi prosto w oczy,
Bo widzi Bóg w niebie,
Że mi ledwo nie wyskoczy
Serduszko do ciebie.



Bierze Halinę i tak w okolo
Przodkując družbom tańczy wesoło,
A gdy ku skrzypkom znowu powróci,
Staje i w piasach tak przed nią nuci:



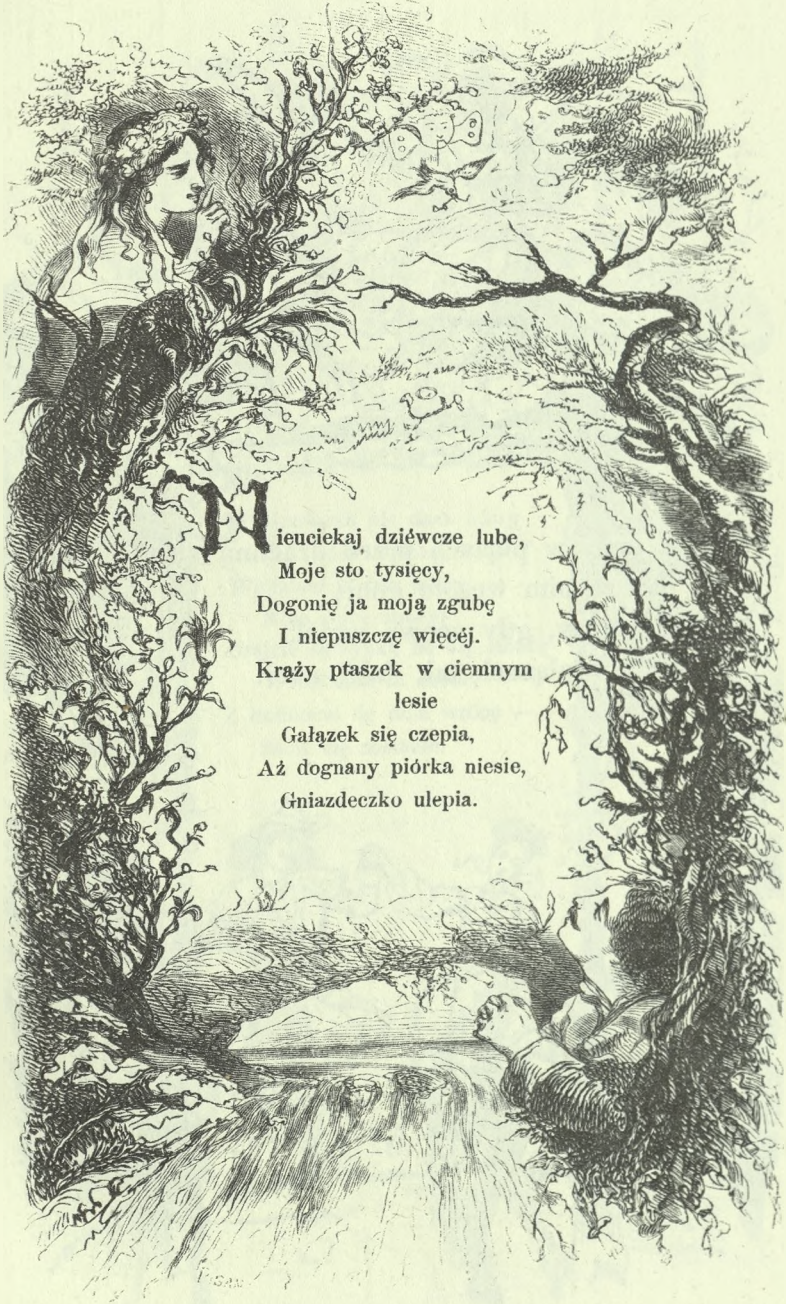


zemuż ja w Proszowskiej
ziemi
Małe zazańl dziecic,
Bylbym międy Krakow-
skimi
Najszcześliwszy w świecie!
Krew nie woda ludźni
włada,
Bo któż sercem rządzi!
Człowiek myśli i uklada
A wszystko Bóg sądzi.



Halina w płasach przed nim ucieka,
On w ręce bijąc goni z daleka.
A gdy dogoni znowu z nią wróci,
Staje i w płasach tak dalej nuci:



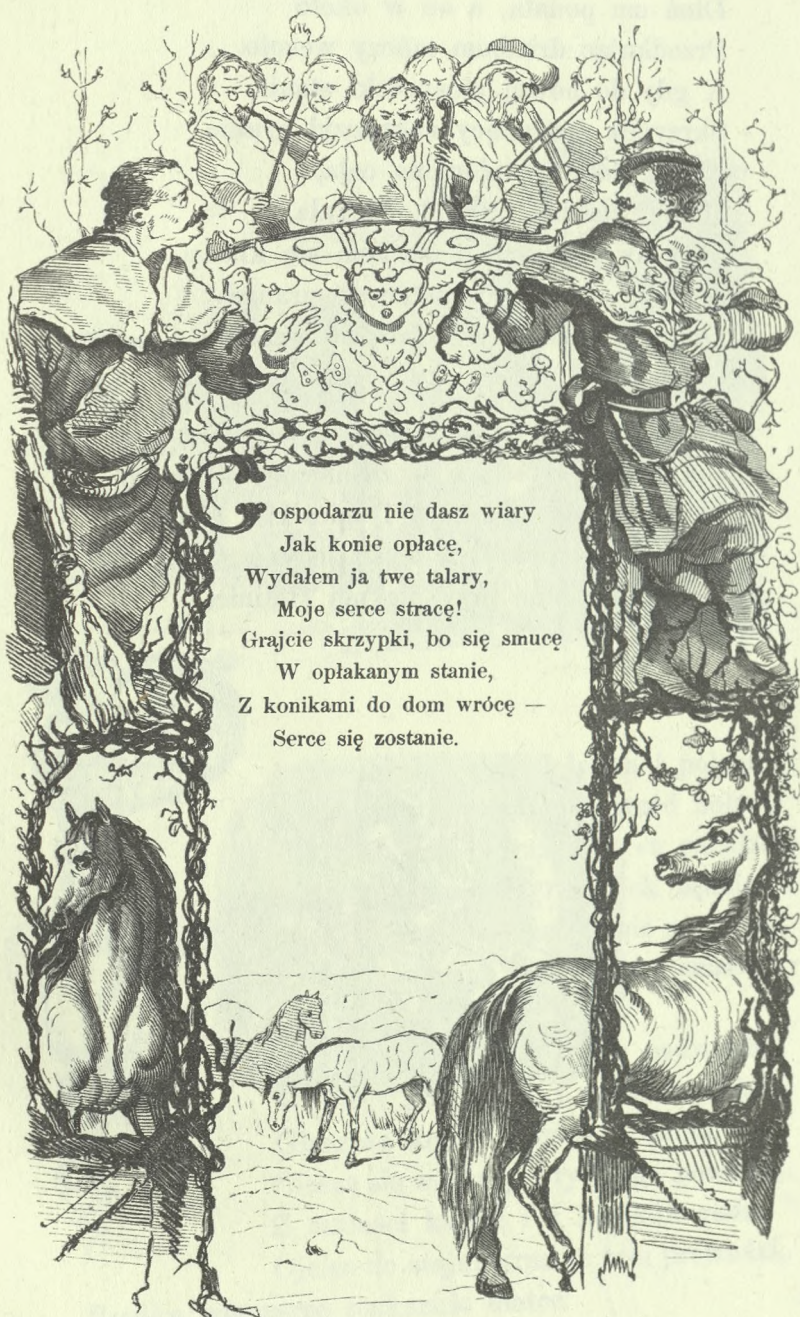


ieciekaj dziewczę lubę,
 Moje sto tysięcy,
 Dogonię ja moją zgubę
 I niepuszczę więcej.
 Kraży ptaszek w ciemnym
 lesie
 Gałązek się czepia,
 Aż dognany piórka niesie,
 Gniazdeczko ulepia.



Sam teraz w p[ł]asach przed druchną stroni,
A ona za nim wesoło goni;
I dogoniony, gdy znowu wróci,
Staje i w p[ł]asach tak dalej nuci:



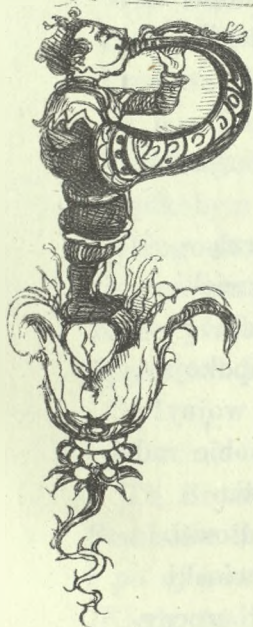


o gospodarzu nie dasz wiary
Jak konie oplacę,
Wydalem ja twe talary,
Moje serce stracę!
Grajcie skrzypki, bo się smucę
W oplakanyim stanie,
Z konikami do dom wrócę —
Serce się zostanie.

Dłoń mu podała, a on w około
Przodkując družbom tańczy wesolo,
A gdy do nowój piosneczki stanie,
Skrzypek drzymiący zakończył granie.
Na to Halina zapłoniona cała,
Między teścinę za stół uciekała,
Wiesław Staroście i matkom się kłania.
Słysząc w około pokątne szemrania.
Długo gościnnie Wiesław się weselił. —

Już się téż dzionek nad górami bielil,
Pożegnał wszystkich w zasmuconym stanie,
Wciąż mając w uszach i śpiewki i granie,
W sercu niepokój, a myśli jedynie
Krażą niewolne przy pięknej Halinie.





ospieszał Wiesław i lasem i polem,
Ale się ostać nie może przed bolem,
Bo kiedy miłość raz w sercu osiędzie,
Daremny namysł i rozsądek będzie.
Przeto co myślał, co czynić przystało,
Stanowi wyznać i szczerze i śmiało.

Oczekiwany wjechał do podwórka,
Wybiegł gospodarz i matka i córka,
Głaszcze koniki i wiąże u płotu.
Cieszą się wszyscy z rychłego powrotu,
Z taniości kupna i z koników radzi,
Ojciec do stajni wraz je sam prowadzi,

Prędką wieczrę rozkazuje matce.

Skoro milczący Wiesław usiadł w chatce

Matka go z córką o zdrowie pytały:
Milcząc Bronice dał gościniec mały.
Przybył téż razem i sąsiad ciekawy,
Dobry do rady, dobry do zabawy.
Jan, co za stołem nie jednym już siedział,
Mądrze pomyślał i prawdę powiedział;
Ale się wszystkim dziwnie wydawało,
Że Wiesław smutny i mówił tak mało.
Wszedł i gospodarz — do stołu zasiedli,
Skromną wieczerzę przy rozmowach jedli,
A matka tylko baczna na Wiesława,
Przyczyny smutku pyta się ciekawa:
„Powiedz nam przecie, co tobie się stało,
Że smutny siedzisz i mówisz tak mało?
Milczący zawsze sam sobie zaszkodzi, —
Nigdy młodemu skrytość się nie godzi.“
On spuścił oczy, wstydem się zapłonął,
Gospodarzowi do nóg się uklonił,
I zaczął mówić słowa takowemi:
„Prawda, że szczerze trzeba ze starszemi,
Oni nieźrałej młodości wybaczą,
I mądrą radą zawsze wspierać raczą.
Czemużem w domu nie został na wieki,
Wdzięchen łask tylu i waszój opieki!
Przy waszym pługu chodziłbym spokojny,
Anibym zaznał ciężkiej z sercem wojny!
Lecz darmo — człowiek sam o sobie radzi,
Inaczój myśli Bóg o swój czeladzi.
Prędki, bez wieści spada wyrok Boski.
Na mojej drodze, pośród jednej wioski
Poznałem druchnę, którój wdzięk uroczy
Zabrał mi serce i zniewolił oczy.

I zrobił tyle, że odtąd jedynie
Serce i dusza zawsze przy Halinie.
Ojcowie moi już królują w niebie,
Wyście sierotę przyjęli do siebie.
Cięższa niż kamień jest ludziom sierota!
Wyście litośnie otwarli mi wrota,
Nie żalowali i trosków i chleba,
Uczyli pracy i bojaźni nieba.
Dziś jedynaczkę córkę w swojej chacie
Dla mnie na przyszłość w zameście chowacie.
Jeszcze (mówicie) byłem dzieckiem małym,
Gdy ją na przyszłość sobie kołysałem;
Ni mię niewdzięczność ani harda dusza
Odkryć przed wami mój smutek przymusza,
Ale mi rada nie dościgła w niebie
Was każe smucić, a zawstydzić siebie.
Puściesz mię puście, z rękoma gołemi,
Pracować będę pomiędzy obcemi,
Bo bez Haliny nic już nie zarobię,
Niezdatny ludziom i niemiły sobie,
Prędkobym znalazł koniec życiu memu.
Pobłogosławić chciejcież więc biednemu, —
Bo ten przed nędzą nigdzie się nie schroni,
Kogo przekleństwo dobroczyńców goni.
Sprawcie! Bóg za to niech będzie nad wami.“

Tu Bronisława zalała się łzami.
Stanisław milcząc, podparł siwą głowę,
I po ojcowsku rzekł słowa takowe:
„Kiedy twój ojciec żegnał ziemskie życie,
Ciebie mi oddał jak za własne dziecko,

Tak cię też kocham, i widzi Bóg w niebie,
Że nic miłszego nie miałem nad ciebie.
A ty niepomny że mnie starość gniecie,
Chcesz na przygody puszczać się po świecie,
Chcesz mię opuścić za to żem cię chował,
Żem tobie przyszłość uczciwą gotował:
Nieszczęście wniesiesz do każdego domu,
Gdy mnie zostawisz wśród żalu i sromu,
Młody, nie baczna wziąłeś przed się drogę,
Ja cię pożegnać, ja puścić nie mogę!“



Plakali wszyscy, Jan milczący siedział,
Gdy się namyślił, tak mądrze powiedział:
„Stary młodemu wyrozumieć niechce,
Młodego nowość i swoboda łechce,
Zwiąż go miłością i obsyp go zbiorem,
On dalej patrzy, bo mu świat otworem.
Nieszczęściem jemu najmiłsza niewola,
Tak i na wiosnę ptak okraża pola,

Płochy i dumny, ufny w siłę młodą
Rzeki i skały przebywa z swobodą,
Aż miłym głosem zwabiony zostaje,
Spuszcza się, jedne by zamieszkał gaje —
I lube szczęście i pokój znachodzi;
Te prawa mają, tę naturę młodzi.
Za nic już wszystko, gdy na całe życie
Wolną mu teraz drogę zagrodzicie.
Nie w nim też może dla Broniki szczęście!
Z woli ma kwitnąć niewolne zameście,
Jako kwiat córka obcej ręki czeka,
Wolny młodzieniec szuka jej z daleka.
Dla tego wolność dajcie Wiesławowi,
O własnem szczęściu, niechaj sam stanowi!“
Na to Stanisław: „Wiele Janie wiecie,
Ale nie znacie co to stracić dziecię.
Dla czego ojciec w troskach życie trawi,
Czém się wiek długi i smuci i bawi,
Z czém żyć nawyknie i pracować w domu,
To bierze przybysz nieznany nikomu, —
Bierze dobytek krwawo dochowany,
I puste ojcom zostawuje ściany,
Gdzie zapomnieni samotne łzy sączą
Gdy córkę inne obowiązki łączą.
Przeto od dawna były myśli moje,
Bym ich przy sobie połączył oboje,
Ażby matka kiedyś po méj stracie
Teściny obcej nie służyła chacie;
Lecz myśli niczém, gdy Bóg nie dozwoli!
Przeto Wiesławie zostawiam twój woli,
Uproś sąsiada, wezwij jego rady,
Może sam z tobą uda się na zwiady,

Jeśli twa przyszła serce tobie święci,
Jeśli rodziny poznasz dobre chęci,
Uproś-że Jana, niechaj zaczną swaty,
Jak syn synowę przywiedź mi do chaty.“





dzie Jan z tęsnym Wiesławem na zwiady,
Wiesław daleko przed nim znaczy ślady,
Bo go i miłość i młodzieńcza siła
Przez góry, doły, prędej prowadziła;
A kiedy przyszli, gdzie mieszkała córka,
Taką pieśń nucą za płotem podwórka:

„Grzęda kwiatami osuta,
Kwitnie rozmaryn i ruta, —
Na okienku wianek leży,
Jest tu córka dla młodzieży.

Przyjdzie młodzian z obcych błoni,
Ojcu, matce się pokłoni;
Zerwie Panna swoje kwiaty
Do teściowej pójdzie chaty.

Raz ostatni rozmaryny
Uwieńczycie skroń dziewczyny, —
Zielona ruto na grzędzie
Nikt cię polewać nie będzie.

Skromna chatka, choć uboga
Za rządnością pomoc Boga;
Sroka skrzeczy na jaworze,
Panna stroi się w komorze.

Otwierajcie! przyszli goście
I ochoczo w dom zaproście,
Chociaż obcym, bądźcie radzi
Dobra nas tu chęć prowadzi.“

Wyjrzała oknem od kądzieli matka,
Skrzyła zaporą, otwarła się chatka.
Wszedł Jan sędziwy, Wiesław okazały,
Głową wyniosłą dosięgnął powały,
A matka rzekła: „Witajcie nam goście!
Siądźcie i z Bogiem dobrą wieść przynoscie.“
Z komory wyszła Halina z rumieńcem,
Skloniła głowę przed znanym młodzieńcem,
A Jan powiedział: „oj! widzę że godne
I starca drogi lica tak urodne.“
Kiedy Halina słyszy taką mowę
Rumianych wdzięków przybyło połowę.
Koszyk podróżny zdejmuję z młodziana,
Bierze i laskę sędziwego Jana.
Wnet ławkę czystą do stołu przynosi,
A matka gości do spoczynku prosi.
Mówi do ucha wstydliwój Halinie:
Niech się roznieci ogień na kominie,
Niech będzie rychło wieczerza gotowa.
Jan gdy odpoczął w te przemówił słowa:
„Wszak gospodyni, przeto nie obrażę
Czyniąc co dawny obyczaj nam każe.
Ojców zwyczaję, toć krewieństwo nasze,
Przeto Wiesławie daj z koszyka flaszę,

A gospodyni kubka nam udzieli;
Miernie użyty trunek rozweseli,
Smielszemi czyni ukrywane chęci,
Serce roztkliwi i na jaw wyświęci,
A jak oblicze oglądamy w zdroju,
Tak wiernie dusza wyda się w napoju.
Pszczołki na ziemi pierwsze gospodynie,
One po całej opatrnej krainie
Zbiorów szukały, ochronne przy zgodzie
Wzbudziły przemysł i w ludzkim narodzie
A jak na wiosnę gospodarna pszczoła,
Gdy się sad bieli i wonieją ziola
Niesie w ul siostrze uzbierane miody,
Tak niesie młodzian z rodzinnej zagrody
Kubek słodczy przy życzliwej chęci,
Téj której serce niewolne poświęci;
Bo równa pszczole jest miłość wieśniacza:
Słodczy i zgodę i pracę oznacza.“
Podala matka kubek na te słowa,
Poszła do serca wszystkim Jana mowa,
Bóg go téż wielkim rozumem obdarzył,
Już on nie jedną rodzinę skojarzył,
Starostą bywa na każdym weselu,
I chresnym ojcem zwał go w domach wielu,
Przeto gdziekolwiek przyjdzie w odwiedzinę,
Jest jakby w domu u swojej rodziny.

W podany kubek nalał Wiesław miodu:
„Przyjmij tę kroplę z obcego ogrodu,
Piękna Halino, jak tobie słodczy
Na całe życie serce moje życzy.“

Na to Halina pytającym okiem
Patrzy na matkę odwrócona bokiem.



Białe odzienie zarzuca na głowę,
Tak zasłoniona, wypija połowę.
Połowę Wiesław wypełnił aż do dna,
A jako zorza wśród lata pogodna
Rumianym wstydem jaśniała Halina. —
Jan dziewosłęby w te słowa zaczyna:
„Kiedy tak córka chęć życzliwą dzieli,
Już do was matko mówić mię ośmieli;
Gdzie młodzież idzie za serdeczną władzą,
Niech ją z namysłem starsi doprowadzą,
Młodość nie widzi, przyszłości nie bada,
Jako w kochaniu ufność w losie składa;
A to oddzielne, nieprzyjazne rzeczy,
Szczęście więc starsi muszą mieć na pieczy.
Wszystko opatrzyć, otwarcie pogadać,
A z resztą ufność na Bogu zakładać. —

Zacnego domu widzicie tu syna,
Chociaż pod ziemią śpi jego rodzina;
Ma przecież ojców, co litością zdjęci
Mając kumostwa powinność w pamięci,
Nie żalowali dla sieroty chleba,
Uczyli pracy i bojaźni nieba.
Sprawiał się godnie, że go synem zowią
I część chudoby dla niego stanowią,
Niejestci u nich gospodarstwo liche,
Praca sierpowa nie idzie pod wiche,
Co tydzień wniesie, nie straci niedziela,
Bóg téż pomocy rządności udziela,
Czystą pszenicę czarna niesie rola,
Welniste owce zabielają pola,
W schludnej stajence bydełko się chowa,
A cztery konie jadą do Krakowa.
Z ich to ramienia do was ja przychodzę:
Poznał się Wiesław z Haliną na drodze
Jak pewnie wiecie. — I ojcom wyjawiał,
Że swoje serce w jój sercu zostawił.
Na to Stanisław rzekł mu słowem takiém:
„Jesteś mi prawda w domu jedynakiem;
Lecz jeśli miła serce tobie święci,
Jeśli rodziny poznasz dobre chęci,
Uprosze Jana, niechaj zacznie swaty,
Jak syn synowę przywiedź mi do chaty.“
„Te słowa matko! wiernie wam odnoszę,
I w imie ojców o córkę was proszę —
Niechaj Bóg dobre rodziny jednoczy!
Niechcę młodego wychwalać wam w oczy.
Często pochwała choć i słuszna szkodzi,
Bo lepiej, kiedy nie znają jój młodzi.

Za wcześnie już się u celu być mienia,
Raz pochwaleni przestrogi nie cenią. —
Choć pracowity, choć pokorny w domu,
Bywał i Wiesław szpakiem po kryjomu:



Zajechać drogę choćby wojewodzie,
Rej nad muzyką prowadzić w gospodzie;
Z karczmy rozpędzać hulacze wojaki,
Wyśmiać wędrownym góralom chodaki;
Toć były jego dotąd obyczaje! —
Młodemu wszystko zarówno się zdaje.
Bo jak na wiosnę pędzi potok w biegu,
Pieni się, szumi i wylewa z brzegu,
Aż dalej cicho upływa w korycie,
Tak młodzian siłą obdarzon obwicie
Musi wyszumieć; aż w troskach stateczny,
Jak jabłoń z czasem, traci kwiat zbyteczny.
Zna Wiesław łaskę i niełaskę nieba,
Kto użył biedy, poznał cenę chleba,

Zawsze téż dobra i stateczna żona
Resztę wychowu w młodzianie dokona,
Douczy myśleć, jak dobytek zbierać,
Jak się na przyszłość zwodliwą ozierać.
To wam powiadam o moim Wiesławie,
Bom mu był świadkiem z lat dziecinnych prawie.“

Baczna Halina stojąca na boku,
Śledziła prawdę w Wiesławowém oku,
Jan mówiąc prawdę, wiedział że nie ranił,
Dziewczęta lubią błędy które ganił.

Ale łza błysła w źrenicy młodziana,
Potém się nisko skłonił do nóg Jana;
Skłonił się matce, milcząc, pełen sromu,
I było długie pomileczenie w domu.
Wtenczas Halinie równie łzy wytrysły
Jako na wiosnę nad brzegami Wisły,
Gdy wonny deszczyk obłoki wyleją,
Kwiaty zroszone błyszczą się nadzieją,
A razem słońce za górami świeci.
Tak gdy z otuchą łzę ronili dzieci,
Jan z matką na nie poglądali z boku,
Miła pogoda jaśniała im w oku.

Rzewniło matkę niespodziane szczęście,
Nie dla Haliny bogate zamęście;
Która sierota bez ojca, bez matki
Wiana nie miała, ni rodzinnej chatki.

W szczerości zatém, jak każe sumienie,
Takie Janowi czyni oświadczenie:
„Jest Bóg widzący na niebieskim dworze,
Doświadcza ludzi w szczęściu i pokorze.
Czy kogo nisko, czy w górze posadzi,
Wgląda jak wszędzie człowiek sobie radzi;
Halina moja, co w ubogim bycie
Przepracowała dotąd ze mną życie,
Nie wierzy słońcu, które niespodzianie
Przed nasze teraz błysnęło mieszkanie.
Na stan jój niski wysoka jagoda,
Nie dla sieroty jest kmiecia zagroda;
Ani ma ojców, ani przyjacieli,
Aby o wianie dla niój pomyśleli.
Przeto młodzieńcze! niech cię Bóg poświęci,
Za dobre serce i życzliwe chęci;
Teraz usłyszcie o losie Haliny
I to do waszój odnieście rodziny: —

„Gdy los w wojenne wplątał nas pożogi,
I mój mąż z wojskiem poszedł na bój srogi;
I już nie wrócił. Obcy, bez litości,
Grabili dwory, zapalali włości,—
Doznał co trwoga, kto pomni te czasy!
Starce i matki pokryły się w lasy,
Ale i w lesie płoną ogniem sosny,
Byłci to widok straszny i żaloszny!
Gdy ta ostatnia gorzała uchrona,
Milami wielka rozciągnęła się łona.
Dzieci i żony błądziły tłumami
Przy drodze, na to patrzyłam ze łzami,

A że mi dziecię zastąpiło drogę,
Do serca — płacząc — tuląc jako mogę;
Pytam o imię, rodzinę, mieszkanie,
Ale daremna prośba i pytanie:
Dziecię zaledwie swoje znało imię,
Mówiło tylko, że w okropnym dymie
Nieznani ludzie wiedli je do lasu; —
Więcej nic niewiem aż do tego czasu,
Ja niegdyś matka — pamiętna na Boga,
Wzięłam sierotę, choć sama uboga.
Podjęłam troski, lecz była ich godna,
Wyrosła zdrowa, pracowna, urodna,
Obiedwie teraz pracujem na siebie,
W jednych żyjemy troskach i potrzebie.
Pracą łagodząc ubóstwo uporne
W cudzej zagrodzie siedziemy komorne
Bez skiby ziemi. — Jałówka, dwie krówek,
Kilka owieczek, cały nasz dochówek.



W lecie sąsiadom pracujem przy żniwie,
Za to nam zagon odstąpią na niwie,
Tak len siejemy, a wieczorna przedza
Resztę domowej potrzeby opędza. —
Brzmią tu wesela na każde zapusty,
Lecz to nie dla niéj, nie dla niéj odpusty,
Na których dziewczkom kupują pierścienie.
Tam gdzie stodoły i bogate mienie,
Tam zalotnicy. — Nie zwabi młodziana
Przybysza córka bez ojców i wiana —
Jak była dotąd niebieska opieka,
Tak przeznaczenia u Boga niech czeka.
Ufam, że póki niemoc mię nie strawi,
Już mię Halina saméj nie zostawi.“

Na to Halinie łza z oczu wytryska,
Kłęką przed matką i kolana ściska:
„O miła matko! tyś ci moje wiano;
Choćby mi góry złociste dawano,
Choćbym mieszkała w malowanym dworze,
Jedwabne szaty chowała w komorze,
Tobym bez ciebie przepłakała życie.“
Tak się ściszały lejąc łzy obficie,
A Jan myślący bacznie radość chowa,
Wykraść się chciały niecierpliwé słowa,
Bo dusza była pełną ważnych myśli,
Na twarzy tylko wesele się kryśli;
Chciał mówić Wiesław — ale go Jan bacznie
Ostrzega cicho i tak mówić zacznie:
„Ważne mi ważne, zwiastują się rzeczy!
Jest Bóg, co ludzkie sprawy ma na pieczy,

Chwała mu wieczna! Miła gospodyni
Niechaj z ufnością co powiem uczyni,
Bo z serca idzie szczerą moją radą:
Uproście koni z wozem u sąsiada,
A tę życzliwość hojnie mu wrócimy,
Bo wszyscy w drogę wybrać się musimy:
Szczęścia spólnego nadeszła godzina,
Pozna Halinę Wiesława rodzina.“





artko wóz toczą parszkające konie,
 Mijają bory i mostki i błonie.
 Cała drużyna siedzi zadumana —
 Wesołość tylko nie opuszcza Jana;
 Gada powiastki, żartuje ochoczy,
 Że córka często musi zakryć oczy;
 Sam radość w sercu zatajoną żywi,
 Że dwie rodziny rychle uszczęśliwi. —
 Przydrożne lipy długie ścielą cienie,
 Gore nad lasem niebieskie sklepienie,
 I rzeźwą wonią sieje wiatr pogodny —
 Jest blisko drogi gościniec wygodny,

Tam każą stanąć. — Bo choć wioska bliska,
 Ale ją dzielą zbłotniałe stawiska;
 Przeto nim w okół jadący okrąży,
 Pieszy ścieżkami trzykroć pierwój zdąży.
 Idą więc wszyscy ścieżkami wesoło,
 A wóz pył wznosi okrążając koło;

Dziwnie Haliny twarz się uwesela,
Swawolna, więcej mówić się ośmiela.
Przebyli kładki i zaczepne krzewy,
Z błonia pastusze ozwały się śpiewy,
Które jój bardzo do serca trafiły, —
Tak na weselu nucił Wiesław miły.
A Jan uważny, pogląda jój w lica,
Czy jój nie będzie znaną okolica. —
W tém uroczyscie od kościelnej wieży
Dzwon do modlitwy głos po rosie szerzy.
Pobożnie wszyscy padli na kolana,
A twarz Haliny od zorzy oblana,
Podobną była do twarzy anioła;
Ale w tęsknocie wytrzymać nie zdoła;
Do dziwnych marzeń głos dzwonka ją skłonił:
I słodki smutek kilka łez wyronił.

A idąc dalej, na wzgórkach stanęli:
Już tylko wioskę jedno błonie dzieli,
Z którego gwarząc rozpierzchłe pacholki
Spędzają na most i krówki i wołki.
Skrzypią z ról czarnych wracające pługi,
A cała wioska jako ogród długi



WIESŁAW.

W sadach kwitnących niskie strzechy kryje,
Z których dym kręty ku niebu się wije;
A stary kościół z wysokimi szczyty,
Nad wsią panuje lipami okryty;
Dzwon, który z wieży o milę donosi,
Już pogrzeb piątym pokoleniom głosi.
Gdy tak na wszystkie poglądały strony,
Jan się zapytał, na łaskę schylony:
„Jak ci się zdaje, to nasze siedlisko?
Chata Wiesława już tu bardzo blisko.“
Ale Halina w jedną patrzy stronę,
Bijące łono, usta otworzone
Poznać dawały wielkie zadumienie;
Błogie się w serce cisnęło wspomnienie,
Nie mogła mówić, bo w takowym stanie,
Každy jój oddech zajmowało łkanie;
Dalej przy miedzy naprzeciwko chaty,
Stoi krzyż pański pochylony z łąty,
W około wierzby i zielona trawka,
Tam wiejskich dzieci niedzielna zabawka;
Tu już Halina pada na kolana,
W dłonie uderza i mówi do Jana:

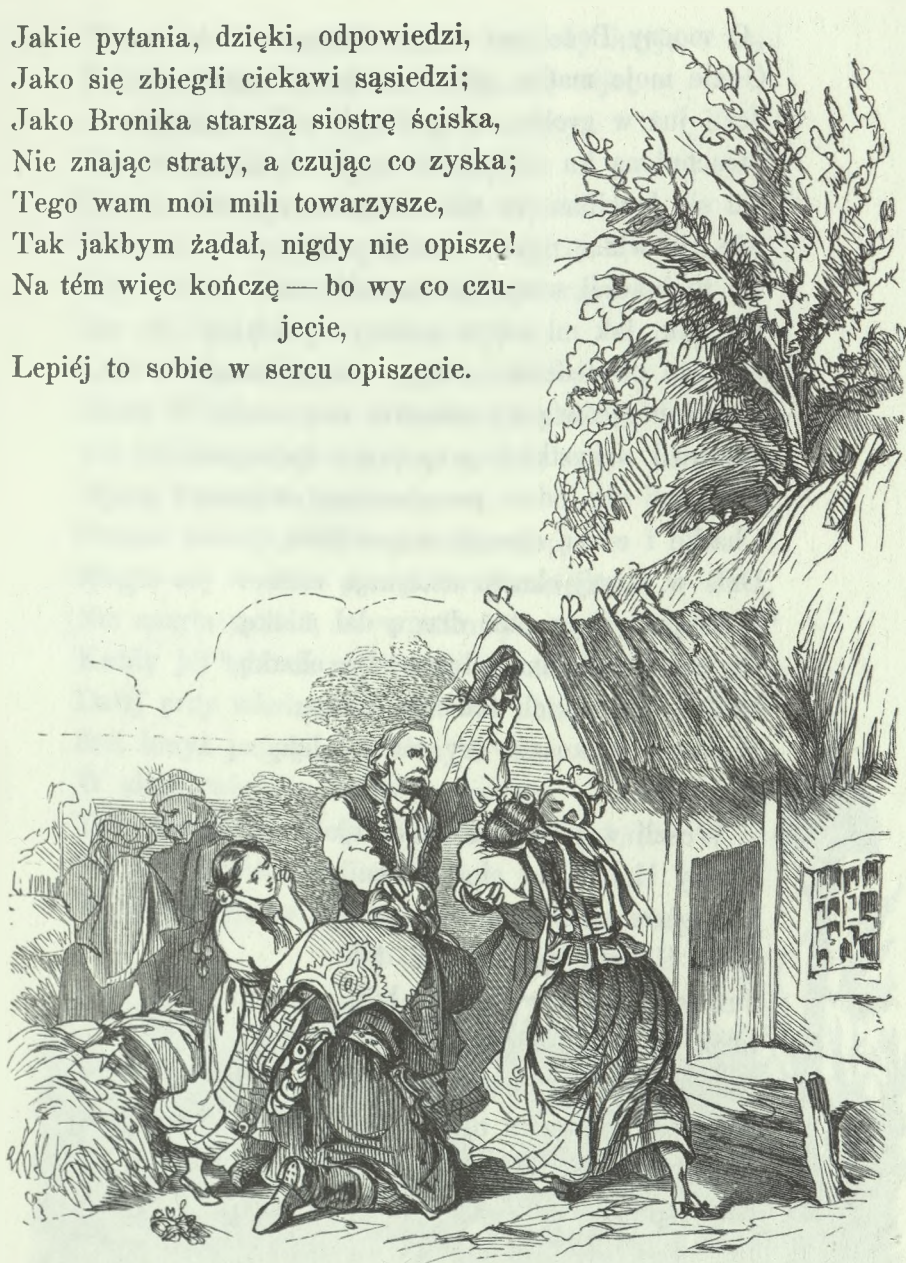


„O mocny Boże! toć moja rodzina,
Gdzie moja matka, gdzie matka jedyna?
Jeśli już w grobie, na grób jój pójść muszę;
Stęschnioną ku niéj niech wypłaczę duszę,
Tu się bawiłam, tu zbierałam kwiaty —
Ale nie widzę rodzicielskiej chaty,
Bo tu inaczej wszystko dawniej stało,
Nie tak, jak mi się w pamięci zjawiało.“
Tu Jan powiedział: „Bóg, co cię ratował,
I twoich ojców przy zdrowiu zachował,
Zostawił wszystkich przy pracy spokojnie.
Wzmogli się ludzie po niszczącej wojnie;
Chatkę i córkę stracili w potrzebie,
Dziś w nowej chacie uściskają ciebie:
Podziękuj Bogu, żeć drugą dał matkę,
Co cię w rodzinną odprowadza chatkę.“
Haliną wszystkich ścisnęła koleją,
Wszyscy rozkoszne łyż radości leją.

Weszli w podwórko, lecz ojców nie było,
Patrzy Halina, co się odmieniło;
Spokojnie ojców od pola czekali,
Żeby Halinie wypoczynek dali.
Już też Stanisław idzie z łąki z kosą,
Idzie i żona, konicz krówkom niosą.
Naprzód z bławatem szła Bronika mała,
Gości w podwórku ojcom skazywała.
Chciał Jan, by Wiesław naprzeciw pospieszył,
Aby wprzód matkę szczęśliwą ucieszył.

Jak się witała rodzina złączona,
Jedno drugiemu oddając do łona;

Jakie pytania, dzięki, odpowiedzi,
Jako się zbiegli ciekawi sąsiedzi;
Jako Bronika starszą siostrę ściska,
Nie znając straty, a czując co zyska;
Tego wam moi mili towarzysze,
Tak jakbym żądał, nigdy nie opiszę!
Na tém więc kończę — bo wy co czu-
jecie,
Lepiej to sobie w sercu opiszećie.

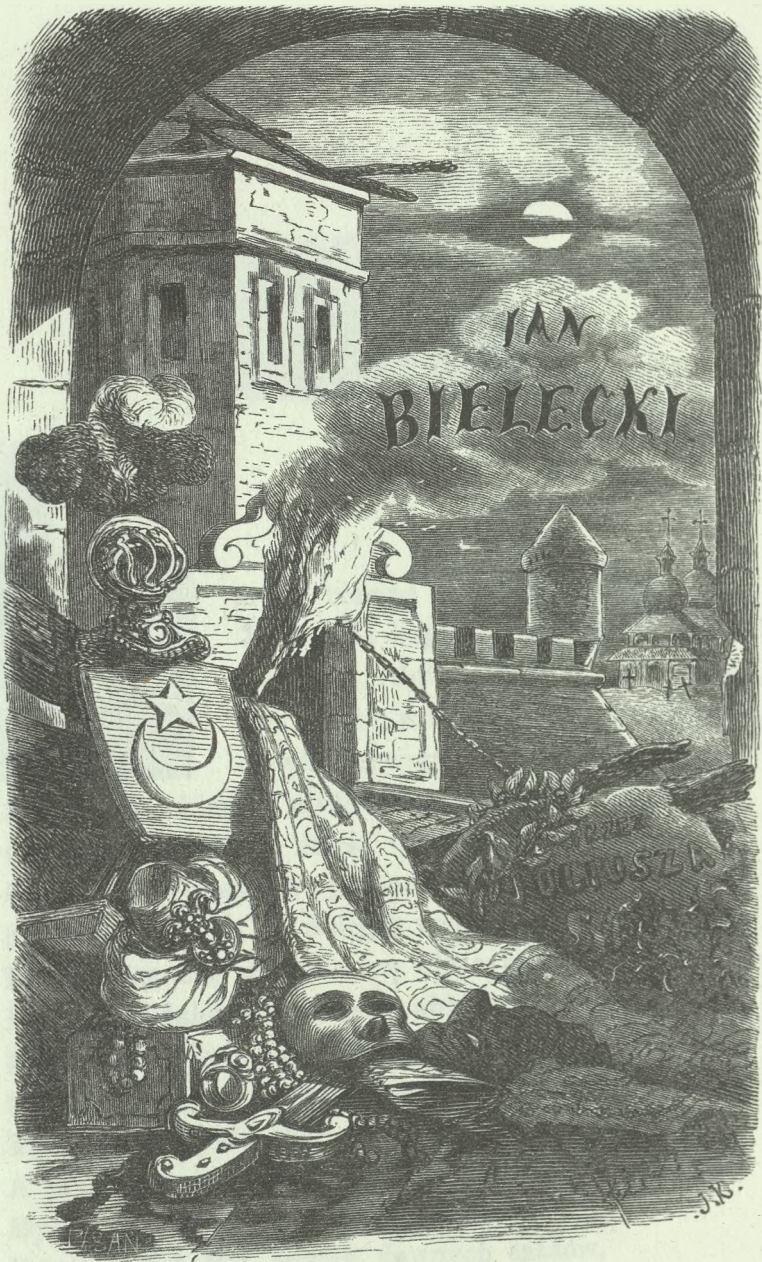


JAN BIELECKI.

POEMAT

WARSZAWA W Drukarni Księżyce.

DRZEWORYTY RYSUNKU JULJUSZA KOSSAKA, RYTOWANE PRZEZ PP. PISAN,
LAVIELLE, SOTAIN.



I.

Wyprawa nocna



to się ciemne księgarnie otwarły....
Tu źródła bogactw w zapyłonej ramie!
Czytam.... Jak dziko ten język umarły,
Pod piórem w kształty nieżywe się łamie.
Język i gorszy przesąd zakonnika,

Jak rdzawa klamra myśl księgi zamyka.
Czy tu wygrzebiesz dzieła Giedyminów?
Czy głos Zygmunatów, jak echo daleki?
Są to jak Sfinxy, te ubiegłe wieki,
Mówią zagadką dziś ciemną dla synów.
Pamięć w dalekich wiekach obłąkana
Niech spocznie.... Okno klasztoru otworzę....
O! jak spokojne otchłanie błękitu!
Tam zdala płynie złote kłósów morze,
A tu klasztoru szumią ciemne lipy;
Myśl rozwesela daleki szmer lasów.
Gdy pogrzebałem pamięć dawnych czasów,
Jestem wesoły, jak biesiadnik stypy.

Snem jest ów obraz. Umysł się najgrawa
Z niszczęść obecnych, — bezwładny — bez steru.
Gdzież jestem? Oto! mury Westminsteru,
Tam Izba Parów, tu Tamiza mgława
Połyska słońcem. Przebiegałem chmurny
Ów pałac zmarłych z uczuciem przestrachu;
Bo ja sam byłem jak umarły w gmachu,
A oni żyli.... Nie zajrzałem w urny,
Wybiegłem — więcęj nie wchodzę w te ściany....
Ale samotny wracam dziś i codziennie,
W dziedziniec głazem grobów brukowany,
Po których stąpa niemyślny przychodzień....
Ci co posnęli w tych grobach dokoła,
Walczyli nędzni z niezdolności wrogiem;
Dążyli spiesznie do progów kościoła,
I umierając, kładli się przed progiem.

Z dziką rozkoszą napis mniej widomy,
Niszczę do reszty śladem mojej stopy.
I czuję rozkosz, gdy mój cień znikomy
Grobowi gmachu nie dopuści cienia.
Szaleni! dążyć pod świątyni stropy?
Nie mając w duszy wrącego płomienia.

Posępny — siądę na odłamie głazu.
Smutna się powieść w pamięci rozwija....
Czytałem w księgach — a godło obrazu
Było: „*kraj zdradził, lecz zdrada zabija.*“

W kronikach znajdziesz powieści osnowę,
Z kronik czerpane rysy i kolory.

Już Zygmunt August w grobie złożył głowę,
Na tronie zasiadł król Stefan Batory.
Ciężkie dla szlachty były rządy nowe,
Część po wsiach własne zamieszkała dwory.
Co było w kraju? nie skręślę do razu,
Jeden cień tylko maluję obrazu.

Pan Brzezan w cudnej mieszka okolicy.
Zamek objęła rzeka w dwa ramiona,
Nad bramą klasztor, w murach zakonnicy,
Dalej kaplica blachą powleczone.
W komnatach żadnej nie ujrzysz różnicy
Od złotych komnat, gdzie mieszkała Bona.
Pan Brzezan lubi żyć w królewskim dworze,
Co ma król polski i szlachcic mieć może.

Posadzki wzorem włoskim marmurowe,
Na ścianach srebrem tkane adamaszki;
Gęsto się lampy lśnią alabastrowe,
Z srebrnych sadzawek, niby dla igraszki
Wytryska woda, tchnąca wonią róży,
I nazad dészczem brylantowym spada.
Dwóch karłów wiernie na skinienie służy,
W oczy się patrzy i chęci odgada,
Ani się kiedy śmie odezwać słowy, —
Spodlonym tworom Bóg odmówił mowy.

Pan Brzezan huczne wydaje biesiady.
Oto go łatwo rozeznać za stołom,
W złocistej szacie, ale bardzo blade,
Wydaje troski zachmurzoném czołem.

Może biesiada cierpienia ukoi?
Już od tygodnia szlachtę sprasza, poi.

Dzisiaj na czole pozbył zwykłej dumy.
Już raz dziesiąty zagrzmiały wiwaty,
Wesołej szlachty ozwały się tłumy,
Wesołym gwarem zabrzmiały komnaty;
Już wino słabsze zwycięża rozумы,
Dość jednej iskry, wnet ogień wybucha.
Pan Brzezan mówi — szlachta wstaje, słucha.



„Bracia! na chwilę uciszcie te gwary,
Słuchajcie pilnie — a ja w krótkim słowie
Wyjawię powód, wyłożę zamiary,
A potem każdy swe zdanie wypowie.

„Słuchajcie! szlacheć obraził mię podły!
Szedłem do króla, — nie błagałem łaski, —

Wnet sprawę długie indukta wywiodły,
I jam był winien! winien był Sieniawski!
I oko w oko, przed króla obliczem,
Widziałem wroga, nie próżno przychodził,
Król go pochwalił, pochwalił, nagrodził,
Nie spojrział na mnie i odprawił z niczém.

„Nasz dumny Stefan do czegoż on zmierza?
Smiałyby władać jak Niemieckie książe?
Wszak nasze państwo to gotycka wieża,
Z tysięcznych kolumn składa się i wiąże;
Niechaj się jedna usunie kolumna,
Gmach cały runie, cały się rozprzędzie.
Ja się usunę! — niech mię grom dosięże,
Gmach cały runie, dla mnie tylko trumna!...

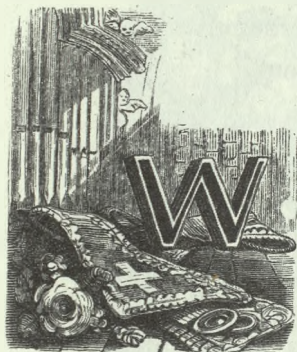
„Hej! Szlachta! znacie Bieleckiego Jana?
Dawniej w niewoli gnił u Bisurmana,
A dziś się z pany w jednym stawi rzędzie,
Jak król udzielny w darowanej grzędzie.
A kiedy zamki walą się pod gromem,
On podparł domu walące się ściany,
I tak spokojny między niemi żyje,
I tak szczęśliwy, że nad jego domem,
Co wiosny bocian nowe gniazdo wije.
Lecz dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda,
Jękiem i dymem, iskrami płomieni.
Bracia! noc widna! — nie daleka jazda!
Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni;
Nim wróci, niech mi Bóg tak dopomoże,
Dom zrzucę, spalę, grunt domu zaorzę.“

Miodem i winem i ucztą zagrzany,
Tłum szlachty powstał z ochotnym oklaskiem.
I tam widziałbyś jakim cudnym blaskiem
Migwały w tłumie drogie axamity,
Złociste pasy i jasne żupany,
Jak się wahały brylantowe kity,
I oko ćmiły różnobarwne krasy:
Blask chyba równy, gdy w przedpotopowe
Wicher nowego świata zbłądzi lasy,
Gdy aż do ziemi nachyli drzew głowę,
Gdy się mieszają wszystkie barwy borów;
Liście i kwiaty płyną jak potoki,
Zachwyca oczy cudna gra kolorów,
Szum razem miły, straszny, i głęboki.

Pali się szlachta, już dosiadła koni,
Pieszym pan Brzezan rozdaje rumaki.
Już most zwodowy pod kopyty dzwoni,
Dalej! na pola przez ubite szlaki.
Wino zagrzewa, zemsta pośpiech radzi,
Już pojechali.... Niech ich Bog prowadzi!



II.



BRZEZAN miasteczku, w kościele u Fary
Jaśnieje ołtarz — potężne organy
Wstrząsają pełne grobowców filary,
Po ławkach jasne migają żupany;
Tam poźółkniały ksiąg pergamin stary,
A owdzie stoczek złotem malowany,
Ołtarz upstrzony woskowemi kwiaty,
Służba rozwija kobierzec bogaty.



Swaty i drużby wystąpili strojno,
I młoda para przysięgi powtarza.
Z otwartém czołem, Jan Bielecki zbrojno,
W huzarskiej zbroi, w misiurce ze stali,
Jako do bitwy stanął do ołtarza,
Patrzy na młodą, a wzrok mu się pali.
Przy mężkiej piersi, gdzie żelazo lśniło
Od lubój w miłym dany upominku
Sklaniał się bukiet z róży i barwinku,
I drżał listkami, tak mu serce biło,
Tak silnie piersi wstrząsały puklerzem....
A dalej, swaty za młodym rycerzem,
A dalej, bracia huzary, pancerni,
A dalej, służba w wielkiem stoi kole,
Zbroją od prostój odróżniona czerni.
Piękny to widok, gdy przed wrogów tłumem,
Rozwiną skrzydła na barkach sokole,
I jako ptaki głuszą skrzydeł szumem.

Lecz panna młoda jakże przystrojona!
Trudno weselne opisać ubiory.
Ślubna jój szata była w dwa kolory;
Błękitną barwą lśniąca jedna strona,
Bo takie było męża herbu pole;
A na mienionym jedwabiu lazurze,
Lśnił się herb, srebrne księżycą półkole,
Gwiazda, nad gwiazdą hełm o strusiem piórze.
A druga strona sukni szkarłatowa,
I herb dziewicy szyty na szkarłacie:
Srebrzyste strzemię i złota podkowa.
Piękna to szata, a przy takiej szacie,





O jakże cudna, gdy się wstydem płoni!
Widne łzy w oku, widne drżenie dłoni,
I cała postać powiewna i drżąca.
Jój śnieżne łono westchnieniem odtrąca
Tę młodą różę, co wpół wychylona,
Aksamitnego dotknęła się łona.

Dla czegoż smutna?... Patrz na wód lazurze.
Kwiat się przegląda w jeziora kryształe;
Choć chmury słońca nie zakryją światu,
Kwiat liście zwiesza i kryje się w fale;
Lilija wodna może przeczuć burze,
Kwiat czuje — Ona miała czucie kwiatu.

Wracają tłumnie weselne orszaki,
Zagrali grajki, grzmiały liczne wystrzały,
I pochodniami świecili kozaki;
Noc księżycowa widna jak dzień biały.
„Stójcie! — zawołał pierwszy swat — przedemną
Nie widzę domu... Janie! wszak tu droga
Do twojej chaty? ha! cóż to? dla Boga!
Czy dom twój zniknął? czy mi w oczach ciemno?
Ale nie, widzę — oto orzą pługi,
Wieśniak ostatniej miedzy doorywa....“
Kiedy to mówił — przybiegł jeden, drugi,
Patrzają, nie wierzą — sam Jan staje, słucha,
Blednieje — nagle z tłumy się wyrywa,
A w tłumie była cichość straszna, głucha.

W krótkce Jan wrócił — prędko jak błysk gromu,
Stał przed żoną obłąkany, blady.

Na jego szatach widać krwawe ślady...
„Anno“ rzekł „Anno! wracaj! — nie mam domu!
Nie wrócę z tobą, obelga dotkliwa!
Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniósę sromu!
Już mnie domowe szczęście nie omami,
Wracaj o Anno! ty będziesz szczęśliwa,
W twojém objęciu zalałbym się łzami.
Ja nie mam domu!...“ Zadrzał — i spał konia,
I jak wiatr szybko poleciał przez błonia.

Nazajutrz rano pochowali w grobie
Starca, co orał grunt ostatniej miedzy.

Bielecki zniknął — żadnej o nim wiedzy,
A po nim żona chodziła w żalobie.
Jój serce straszne skołatały ciosy,
Po śnie wesela został płacz — pierścionek.

Nazajutrz rano, skoro spadły rosy,
Gdzie był dom Jana, samotny skowronek
Wzleciał nad skiby przeoranej roli,
Nucąc piosenkę smutku i niedoli.



III.



to ubogie szlacheckie komnaty,
Skromne jak niegdyś naszych przod-
ków życie.

Ściany drewniane, po ścianach obicie
W różne obrazy, w różne chińskie
kwiaty.

Straszne jak mary, które roi dziecię,
Z ram poczerńiałe patrzą antenaty.
A przed obrazem jedna lampa płonie,

Gdzie Matka Boska w gwiaździstej koronie.

Noc nadchodziła, mrok zapadał szary;
Lecz budzą ciszę wieczornej godziny
Głośném wahadłem po ścianach zegary
A na dziedzińcu lipy i osiny

Szumiały smutnie — i gdzieś między szpary
Świérszcz się odzywał. — I pies, stróż rodziny,
U wrót podwórza nieraz się odwoła,
Na psów szczekanie z pobliskiego sióła.

Siedziała Anna, przy niej ojciec stary
Otwiera świętych poważne żywoty,



I czyta głośno, a spokojność wiary
Jak dęszcz wiosenny krzepi bujną niwę,
Zamienia rozpacz w uczucie tęsknoty,
I łzy zamienia w płacze nieszkodliwe;
Jako płacz dziecka, kiedy rozkwilone
Ściga za matką, chwyta za kraj szaty.

W tém zaszczekały brytany zbudzone,
I nagle drzwi się otwały komnaty.

Wszedł mały karzeł — czapkę miał na głowie,
Brzmiącą dzwonekami, obszytą w galony,
I rzekł: „Niech będzie Chrystus pochwalony!“
— „Na wieki wieków“ starzec mu odpowie.
A karzeł znowu nisko schylił głowy,
I rzekł: „Sieniawski, Pan mój na Brzeżanach,
Dziś mnie posyła po paniach i panach,
Jutro was prosi na swój bał maskowy.
Jutro do zamku tłum się wielki ściąga,
A wszyscy w dziwne przybrani maskary.“ —
— „Ha! precz mi z oczu!“ krzyknął Cześniak stary,
„Precz! pan twój z nędzy, z łez naszych urąga!
Precz! bo na Boga....“ Lecz nie skończył mowy,
Upadł na krzesło i zdjęty niemocą,
Już gniewu swego nie mógł wyrzucić słowy....

Była to straszna chwila przed północą,
W około słyhać nocnych kurów pianie,
I psy szczekały, co wrót chaty strzegły.
Znagła zadrżały obrazy na ścianie,
Znów się drzwi domu na ścieżaj rozbiegły:
Wszedł błądy człowiek — lecz na powitanie,
Jak zwykle, Boga imienia nie chwalił;
I opatrzone w pieczęć zawinięcie
Złożył na stole i sam się oddalił.

„O córko! córko! to Jana pieczęcie!“
Wykrzyknął starzec, wosk rozłamał kruchy,
I znalazł słowa: „Anno! bądź na balu....“
A dalej szaty z tureckiego szalu,

Wielkie ze złota ulane łańcuchy,
Brylanty śniące jak gwiazdy w noc ciemną,
Perły daleko łowione w Basorze.
Anna spojrzała i zbladła: „O! Boże,
Zmiłuj się nad nim — zmiłuj się nademną.“

Jak cudny obraz oczom się odkrywa!
Czy Zygmunt z grobu wstaje, tron zasiada?
Czy znów z Wenecyi, co po morzu pływa.
Do Polski wnosi karnawału święta?...
Odkąd Batory sławną Polską włada,
Polak się bije, zabaw nie pamięta.
Snem mu się zdają te świetne Brzeżany.
Oto są złote Krakowskie komnaty,
Podobne kształtem, złoconemi ściany,
Strojne w atłasy i drogie bławaty.
Oto jest zgraja Królewska barwiona,
Szaty ma cudne, dorobione twarze;
Weszli na salę.... Ale gdzież jest Bona?
Może truciznę podaje Barbarze?....

Snują się tłumem pomiędzy kolumny,
Ujrzysz tu wszystkie zwyczaje, narody.
Patrz! oto piórem błyska hiszpan dumny,
Nadto poważny, chociaż jeszcze młody;
Krzyż ma na piersiach, jak obrońca wiary,
Krzyż ma na piersiach i szablę szlachezca;
A w ręku jego drżą struny gitary.

Patrz! oto w czarnej zasłonie dziewica,
Z różanym wiankiem, a przy niej młodzieniec.
Oboje widać z wysokiego stanu;

Ona zbierała w Neapolu wieniec,
On się urodził w Rzymie Oceanu.
A pieśni majtków i szum cichej fali,
Ukołysały umysł jeszcze młody;
I rzucił ślubny pierścionek do wody, —
Poślubił morze i jak Tass się żali.

Lecz w jedną stronę zbiegł się tłum balowy;
Dziwna tam maska! dziwne jój ubiory!
Kaszmirska szata w cudne szyta wzory,
Od szaty bije blask dyamentowy,
We włosach toną przepaski z korali...

Wnet się rozlega szmer wielki po sali:
Kto jest ta maska?... Sam król nasz Batory
Nie ma tak wielkich brylantów w Krakowie,
W skarbcu królewskim.... Kto jest ta dziewczica?....
Próżna ciekawość, pod maską jój lica,
Ani się słowem wydała w rozmowie.



IV.



gielkiem i wrzaskiem zabrzmiały komnaty,
Głośna to radość, lecz radość nie szczera;
Śmiech słyhać!... śmiech to wymuszony świata
Na bładych licach nigdy nie umiera.
Śmiech ten jaśnieje jako kwiaty z płótna,
Którymi błyszczy biesiadnika głowa;

Ich postać wiecznie, wiecznie jednakowa,
Wiecznie bez czucia, choć piękna, lecz smutna,
Nigdy nie żyły i w nieba błękiecie
Nie odetchnęły — i nigdy nie zwiędną.
Lecz któżby przeniósł takich kwiatów życie,
Nad jedną chwilę rokoszy — choć błędną?

Pan Brzeżan smutny, milczący, ponury,
Porzucił tłumy różnobarwne fale;
Szedł do komnaty, gdzie ciemne marmury,
I wodotryski wychładzały sałę.



Okna posępne gotyckiej struktury;
Przez okna księżyc pełnym blaskiem pada,
Cisną się krzewy kwitnące jaszminu,
W około stoły z marmuru, bursztynu;
A z ram złożonych nie jedna twarz blada,
Którzej wiekami ściemniały kolory,
Twarz przodków patrzy, smutna, nieruchoma.
Chodził Starosta, krok niepewny, skory,
Za nim się cienie kładły od księżyca;
A gdy na niebo podniósł blade lica,
Na twarzy była zgryzota widoma.

W tłumie biesiadnym nowe słyhać wrzaski;
I zbiegł Starosta do sali biesiady,
Zawołał pazią, pomieszany, blady.
— „Paziu mój! paziu! co znaczą te maski?
Prawie połowę zajęli komnaty,
Czoła zakryte i tatarskie szaty....“
— „O Panie! twojej bojaźni nie dziele,
To jakaś szlachta zjechała kulikiem.“ —
— „Nie są to, paziu! nie są przyjaciele!
Szlachta by zaraz wpadła z hukiem, krzykiem,
Zarazby pełne obległa szklanice,
A oni milczą, kryją tajemnicę....
Paziu, wybiegnij przez drzwi boczne sali,
Niechaj odźwierny.... Lecz cóż to? O Boże!
Zwodowa wieża i zamek się pali!
O zdrada! Bracia, kto mi dopomoże?
Miecz mój i zbroja! prędkiej paziu młody.“

Już nie czas.... Zewsząd tłumne pogan wrogi,
Biegną przez wielkie marmurowe wschody;

Trupami sali zawalili progi,
Ognie pożaru zażegli na gody.
Lecz któż na czele roznieca pożogi?
Któż tłumy pogan prowadzi do boju?
Jestże ich wodzem? baszą? atamanem?
Jakiś młodzieniec w muzułmańskim stroju,
Czoło złocistym przysłonił turbanem,
I wiarę złotym księżycem naznaczył.
Leci na czele i służbę pomija,
Nikogo dotąd uderzyć nie raczył,
Miecz jego w pochwach — on wzrokiem zabija.
Już wpadł do sali, zaraz za nim w ślady,
Straszny wiatr zawył na ściany zamkowe,
Światła zadrżały, zgasły, tylko błądy
Swiecił się promień lamp w alabastrowe
Ukrytych głązy.... Wpadł jak śmierci mara,
I wejście mnogą wartą zabezpiecza....
Pan Brzeżan z mieczem stał w obec Tatar....



Lecz patrzcie! patrzcie! Tatar dobył miecza;
Patrzcie! o zgroza! to miecz dobrze znany!

Nad emalii zaćmionym lazurem,
Obraz Najświętszej Panny malowany,
I obraz krzyża — pod krzyżem, na dole,
Herb, jakby srebrne księżycy półkole
I gwiazda, nad nią hełm ze strusim piórem.

Błysnęły szabli obrazy święcone,
I padł Starosta na twarde granity.
Zaśmiał się Tatar, śmiechem obudzone
Zabrzmiało echo.... Był to jęk kobiety.

Była to maska nieznana nikomu,
Którą brylantów moc wielka pokrywa.
Śmiech usłyszała, i jakby od gromu
Zadrzała, padła na głaz jak nieżywa;
A Tatar przybiegł i padł na kolana,
Cuci ją, węzły ściśnione rozrywa;
Twarz jego była straszna, obłąkana,
Chwycił ją w dłonie, unosił przez ganki,
Ona jak martwa była w jego dłoni;
Z głowy różane pospadały wianki,
I włos się rozwiął, pełny słodkiej woni,
Rozwiany spływał aż do stóp Tatara.
A strasznie bladą była twarz dziewicy.

Budzi się — gdzież jest? w zamkowej kaplicy,
A przed nią postać jak przeszłości mara.
Dokoła było i straszno i ciemno,
A księżyc mury oświecał kościoła.

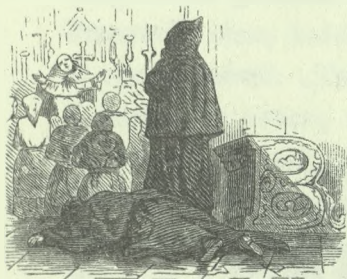
— „Tyż to mój luby? tyż to jesteś ze mną?
Zaklinam ciebie, zdéjm zawoje z głowy!
Niech cię obaczę — rysy twego czoła...“
I zdjął Bielecki turban muślinowy,
Anna spojrzała, i padła omdlona.
Znów po niej życia rozlały się ślady,
I znów po chwili ciężko przebudzona,
Rzekła: „O luby! tak straszny! tak blady!...“
— „Cha! blady?“ przerwał rycerz z dzikim śmiechem.
„Wszak zdradzam!...“ zamilkł — lecz ostatnie słowo,
Trzykrotnie głośném powtórzone echem,
Przerwało ciszę kościoła grobową.
A rycerz mówił: „Tak! twarz moja blada!
Z innąm cię twarzą w czas szczęśliwy witał;
Ja zdradzam! będęż jak róża rozkwitał?
Na mojem czole napisano — zdrada.
Kraj cały we krwi... Wzniesł na księżyc oczy,
Patrz na te okna, na szkle malowidła.
Gdy błysnie słońce, ów anioł roztoczy
Różane lica, a srebrzyste skrzydła;
Lecz szklisty obraz przejęty księżycem,
Teraz do lekkiej widm podobny larwy;
Ciemniejszym patrzy i niepewnym licem,
Smutną ma postać, obumarłe barwy:
Inny jest człowiek, gdy o szczęściu marzy,
Lecz gdy te same, wzniosłe, piękne rysy
Oświeci nieszczęść lampa? od tej twarzy
Weselsze będą grobowe cyprysy.
O! luba moja, po co te rozmowy?
Luba! chodź za mną wieść życie tułaczy!
Chodź za wygnańcem potępioną głową!
Na twojem łonie dożyję siwizny,

Siwizny nieszczęść, zdrady i rozpaczy.“
— „Mój ojciec! —“ ojciec?... ojciec przeklnie ciebie!
I ty się lękasz?... Przeklnie! i cóż znaczy
Przekleństwo ojca, braci, lub ojczyzny?....
Chodź w kraj daleki, tam będziesz jak w niebie,
Znajdziesz tam łąki, gmachy, wonne gaje;
Są ludzie — wszyscy przyjaciółmi memi,
Jest wszystko! luba, czegoż tam nie staje?
Luba! jest wszystko! wszystko! prócz téj ziemi.



V.

Kościół wiejski.



Yła to cerkiew, z modrzewiu jój
ściany

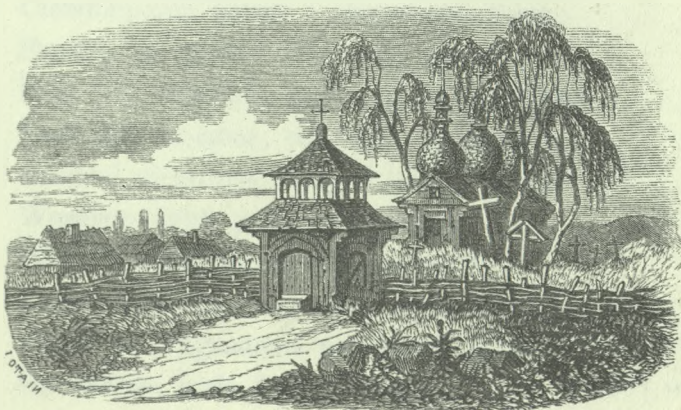
Już pochylone, wsparte na podpory;

Promieniem słońca błyszczał dach blaszany;

Słońce wzierając przez te szyby drżące,

Różne już na nich wybiło kolory.

Nad cerkwią rosły trzy brzozy płaczące,



Krzyż się przegłądał przez ich szczyt wyniosły;
Na progu żebrak pacierze powtarza.
W około cmentarz kwiatami zarosły,
I wiejskie groby błyszczą wśród cmentarza.

Daleko słyhać wiejski dzwon kościelny, —
Zadzwoił, zewsząd lud spieszy przez pola.
Było to święto, był to dzień niedzielny,
Dziś pług spoczywa, zieleni się rola.
Dziewice ołtarz przystroiły w kwiaty,
Zabrzmiała młodzież do śpiewu gotowa;
Wyszedł ksiądz ze mszą, pochylony laty,
Tłumi się coraz pieśń, ludu niktąca —
Ucichła.... Księdza tylko słyhać słowa,
Cichy szmer brzozy, co o szyby trąca:
Niekiedy dzwonek jęklivy uderzy,
Niekiedy starzec księdzu odpowiada;
Swiergocą wróble, i pod szczytem wieży
Pierzchnie jaskółka i w gzymsy zapada.

Msza się kończyła, — oto w niskie progi
Jacyś wędrowce weszli do kościoła.
Jeden padł na twarz, całował podłogi,
Drugi ponury, nie uchylił czoła.
Gdy się przypadkiem płaszcz odkrył, strój drogi
Błysnął z pod płaszcza i twarz nie wesola.
Bali się zasiąść w ławki, lub nie śmieli,
Oba pokornie przy progu stanęli.

Ksiądz modły skończył, mszał bogaty złożył,
Teraz zaczyna mówić Boskie słowo. —

„O! Bracia! dzieci! i tegożem dożył,
Ja stary wiekiem, z ubieloną głową,
Że kiedy nieraz osładzałem troski,
Dziś żal pod strzechę niosę w Bożém słowie!
Tu niegdyś siadał — oto ławka pusta,
Nasz pan, Bielecki, niegdyś pan tój wioski.
Zdradził kraj, wiarę. Ksiądz Prymas w Krakowie
Wyklął go, klątwę na me przesłał usta.
Raz go ostatni bez klątwy wspominam,
Módlcie się! ja się będę modlił z wami....
A teraz Bracia! dzieci! ja przeklinam!....“
Zachwiał się starzec i zalał się łzami,
Zabrzmiało amen — lecz amen żałoby,
Jakże niechętnie? dźwiękiem ledwo żywe.
Potém się wzniosły łkania żałobliwe,
Jakby w dzień sądu otwały się groby.

Ale zaledwo podniosło się łkanie,
Zaledwo doszło przed oblicze Boga,
U progu nowy zgiełk i zamieszanie.
Jeden z wędrowców, co stali u proga,
Zadrżał i upadł bez czucia na głazy;
Drugi zaś drżący i blady straszliwie,
Kląkł nad nim, ciche przemawiał wyrazy,
Twarz towarzysza ukrywał troskliwie.

Ksiądz na ratunek spieszył od ołtarza.
Zaraz na cmentarz niesiono wędrowca,
I tam na zimnym kamieniu grobowca,
Kładą martwego wśród kwiatów cmentarza.
Cieniem świeżości okryły go drzewa,
Cieniem, co groby kwitnące okrywa;

Wiatr go ochłodził, co w grobach powiewa;
Z pomocą pasterz troskliwy przybywa,
Spojrzał i zadrżał.... jakby blaskiem gromu
Twarz go ta razi — twarz biała, nieżywa,
I rzekł: „Wyklęty!.... my idźmy do domu!....“
Wnet się oddalił tłum kościoła wierny,
A ksiądz wychodził za kmieciów gromadą;
We wrotach stanął, twarz odwrócił białą,
I rzekł poważnie: „Bóg jest miłosierny!
A jego litość liczniejsza nad ziarna
Morskiego piasku, i głębsza nad morza.“

Jeden z wędrowców spał wśród mogił łoża;
Oto z drugiego spadła szata czarna,
I twarz odkryła.... Przebóg! to dziewczica!
To Anna! z ust jój nie słyszano słowa,
Czy brak w niej czucia? bo sucha żrenica;
Twarz nieruchoma — jakby marmurowa,



A w oczach ogień gorączki się pali.
Jeszcze na czole miała zwiędłe kwiaty,
I brylantami oświecone szaty;
We włosach jasne przepaski z koralu.

„O! mój najmilszy!“ rzekła „o! mój drogi!
Jesteśmy sami — już jesteśmy sami!
Tyś na mogile usnął — a w te progi
Umarli wchodzą i śpią pod grobami. —
Ty milczysz? luby! odpowiedz mi łzami!....“
Nagle spojrzała i krzyknęła srodze,
Potém nań kwiaty rzuciła wonnemi:
„Luby! nie zaśniesz na rozstajnej drodze,
Sama w święconej pochowam cię ziemi.“

Rzekła; krzyż jeden wyrwała z mogiły;
Kopie grobowiec wśród świeżej darniny,
Lecz coraz słabsza, coraz mdleją siły....
I cicho smutne płynęły godziny.
Zachód ozłocił słońca blask jaskrawy,
Brzozy po grobach długie kładły cienie,
Wonnęj czeremchy orzeźwiało tchnienie,
Szumiały wzniosłe po grobowcach trawy;
Lecz coraz bardziej ciemnieją kolory,
I przez liść brzozy, księżyc zapłoniony
Topił się we mgłach, w różne kształty, wzory,
Lica wysrebrzał — a nocne zasłony
Okryły cerkiew i groby cmentarza.

Już ciemno.... Anna sama jedna w nocy,
Do drzwi cerkiewnych stukanie powtarza;

Nieszczęsna, Boskiej wzywała pomocy.
Widna jój postać przy blasku micyąca,
Jak mgły ulotnej srebrzyste obrazy.
Bije we wrota coraz słabszą dłońią,
Smutne się echo o groby roztrąca,
Lecz echo coraz słabsze niosło razy;
I coraz słabsze — nikły — jako w Bogu
Tonące modły — jako śpiew daleki...
Dziewica blada, na kamiennym progu,
Usnęła — może usnęła na wieki...

I cicho! — niechaj głos pieśni stłumiony,
Nie budzi ciszy w wieczornój godzinie;
Całego świata gdy się odgłos spłynie,
Tworzy tę ciszę co ziemię osłania;
Lecz myśl głęboko zadumana słyszy,
Jak gdzieś daleko brzmią pogrzebów dzwony,
Jęki rozpaczy i wrzawa wesola,
I płacz boleści i śmiech obłąkania,
I wszystko można rozróżnić w téj ciszy,
Słuchem anioła i myślą anioła.



LULI NIEMOWŁĘCIU IWONI.

—
W I E R S Z

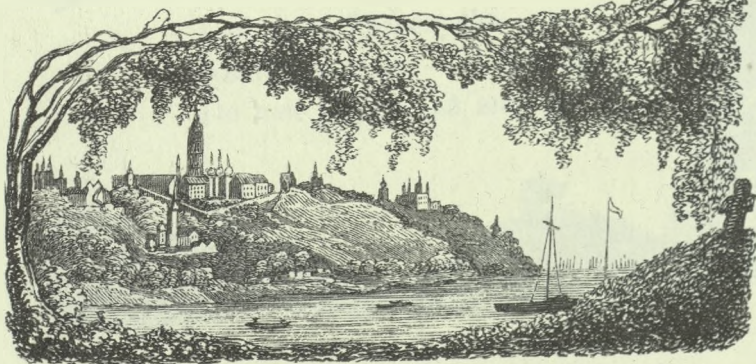
BOHANA KALCSNYI

DZEWORYTY RYSUNKU LEONARDA STRASZYŃSKIEGO, RYTOWANE PRZEZ
P. P. LAVIEILLE I SOTAIN.



Luli synu Wojewody!
Tyleż dzisiaj twego, tyle:
Dzień-no po dniu, w zdrowiu, w sile,

Ze snu rośnij, kniaziu młody!
Wzięć Macierz! Ojca skłuli!
Luli, dziecko nasze, luli!

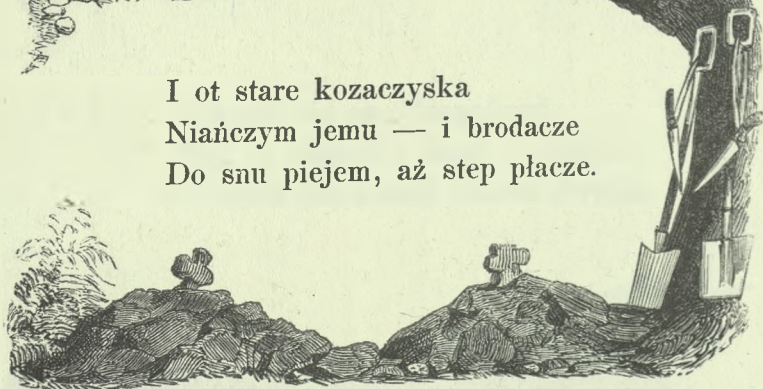


Na stolicy, na Suczawie,²⁾
Hukał dziecku lud na zdrowie,
W głowy śłali bojarowie,
Pióra strusie, pióra pawie;
Nad kołyską, dwór macezyny,
W pieśń zawodził dla dzieciny.

Na kulbace dziś — kołyska,
Dworzec — dymna w stepie chata,
W głowy — burka oj! — kosmata,



I ot stare kozaczyska
Niańczym jemu — i brodacze
Do snu piejem, aż step płacze.



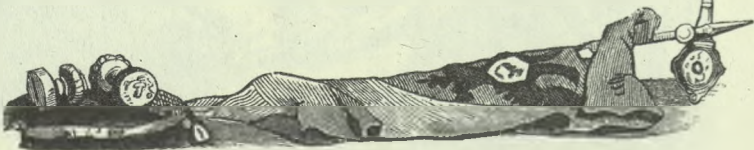
Luli synu Wojewody!
Tyleż dzisiaj twego, tyle:
Dzień-no po dniu, w zdrowiu, w sile,
Ze snu rośnij, kniaziu młody!
Wzięć Macierz! Ojca skuli!
Luli, dziecko nasze, luli!



Wiernać służba, družba stara;
Kniaź Iwonia pracą naszą,
Krwiań kozacza, i krwiań lasza,



Wkupił się na Hospodara!
Toż co nabrał z nami — bojem
W skok się dzielił dobrem swoim.



Żal się Boże, tyla ziemi!
Tyla — tyla — chwały — mary!
W puch my gnali Turków chmary;
Zdrajcaż, biesów syn, Hieremi!³⁾
Rękać łbów dziesiątek zetnie,
Ale tnij, o! tnij na setnie.

Luli synu Wojewody!
Tyleż dzisiaj twego, tyle:
Dzień-no po dniu, w zdrowiu, w sile,
Ze snu rośnij, kniaziu młody!
Wzięlić Macierz! Ojca skłuli!
Luli, dziecko nasze, luli!



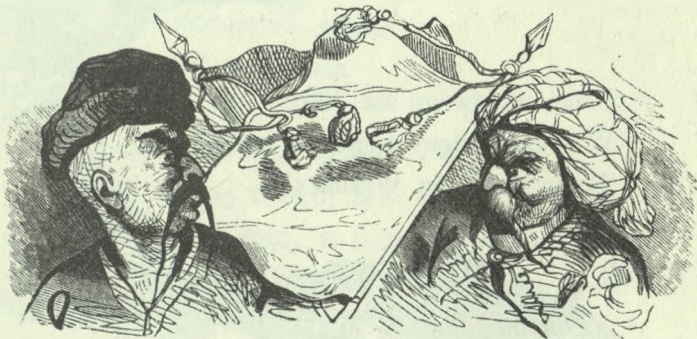
Cyt — cyt — nie płacz, i to minie!
Zdrów-no hoďuj się nieboże,
Z toba-ć Bóg — i Zaporozie;

Pomścim swego na Turczyźnie
W sześć tysięcy kopniem z Kosza;
To ucieszy się Wołosza!





Będziesz kniaziu w swoim kraju
Hospodarzyć tęgi, krewki,
Na majdanie ścisnąć dziewczki,
Pławić konie na Dunaju:
I rok rocznie z nami — śmiało
W bojach hulać — jak bywało!



Luli synu Wojewody!
Tyleż dzisiaj twego, tyle:
Dzień-no po dniu, w zdrowiu, w sile,
Ze snu rośnij, kniaziu młody!
Wziąć Macierz! Ojca skłuli!
Luli, dziecko nasze, luli!



OBJAŚNIENIA.

¹⁾ Piosnka do snu, nad kołyską dziecka, zowie się *luli* — od tegoż wyrazu wciąż powracającego na usta, śpiewa się pospolicie na nutę dumki, i z tonu minore. — Gospodar Iwonia, rodowity Polak, dobrze jest znany z kronik. W Bielskim znajduje się o nim i o kozakach pod Świerczowskim prześliczny ustęp, który nie mogłem nigdy czytać bez najżywszego wzruszenia. Po strasznej katastrofie gospodarza i po smutnym końcu wyprawy na Turków, kozacy uratowali niemowlę Iwoni, które wychowali u siebie na stepach. Młody Iwonia hetmanil potem Zaporozcom, pod przybraném nazwiskiem Iwana Iwanowskiego Podkowy. Podkowa odzyskał był na czas z bracią stepową Księstwo Wołoskie; ale ponieważ o mało nie ściągnął na Polskę wojny z Turkami, skończył niefortunnie jak i ojciec jego. Z rozkazu Zygmunta III pojmany został i ścięty we Lwowie.

²⁾ W Suczawie była niegdyś rezydencja Wojewody Wołoskiego.

³⁾ Hieremi, hetman gospodarza Iwoni, przekupiony od Wezyra tureckiego, a może tylko zostający w znowie z multańskim Petryłem, przeszedł podczas bitwy na stronę nieprzyjaciela z wojskiem Wołoskiem, a tém samém był sprawcą oplakanéj klęski kozaków. Dla pokazania co za jedni byli ci kozacy, wypisuję tu z Kroniki Bielskiego nazwiska dwunastu, którzy dostali się wtedy do niewol, tureckiej: — Świerczowski hetman, Wawrzyniec Kozłowski Płoczanin herbu Jastrząb, Jańczy, Zaleski, Kopytski, Reskowski, Sokołowski, Libiszowski, Czyżawski, Suciński i Bogucki. Wszyscy oto, niemal co do jednego, są szlachta sami Polacy.

WIAZANIE ANIELCE.

W I E R S Z

EDMUNDA DĄSZYŃSKIEGO.

DRZEWORYTY RYSUNKU LEONARDA STRASZYŃSKIEGO, RYTOWANE PRZEZ
P. P. LAVIEILLE I PISAN.



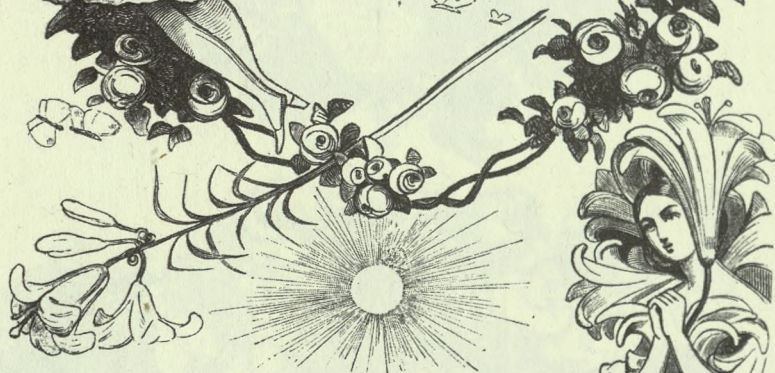
EDMUND WASILEWSKI.



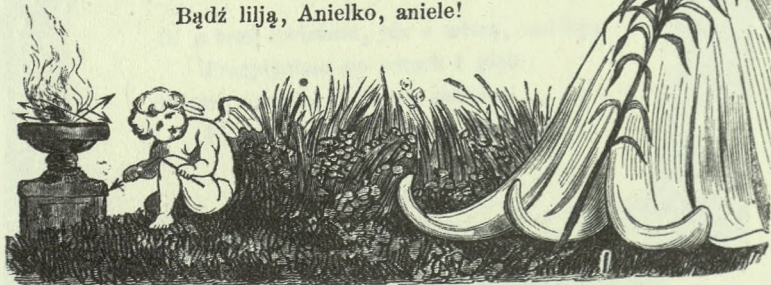
nie lko, aniele! w marzenia ogrodzie
rywane przynoszę ci kwiaty,
akwitły w mych uczuć i myśli pogodzie,
ak jasne jak ócz twych bławaty.



Znasz różę, — co piersią rozkwita do słońca,
Westchnieniem poranku zbudzona;
Jak ona, tak zawsze bądź świeża, kwitnąca,
Lecz nie rań, nie więdnij jak ona!



Znasz lilję, — jój kielich śnieżystej białości,
I wdzięku i woni ma wiele;
Dla tego ją kwiatem nazwano czystości, —
Bądź lilją, Anielko, aniele!

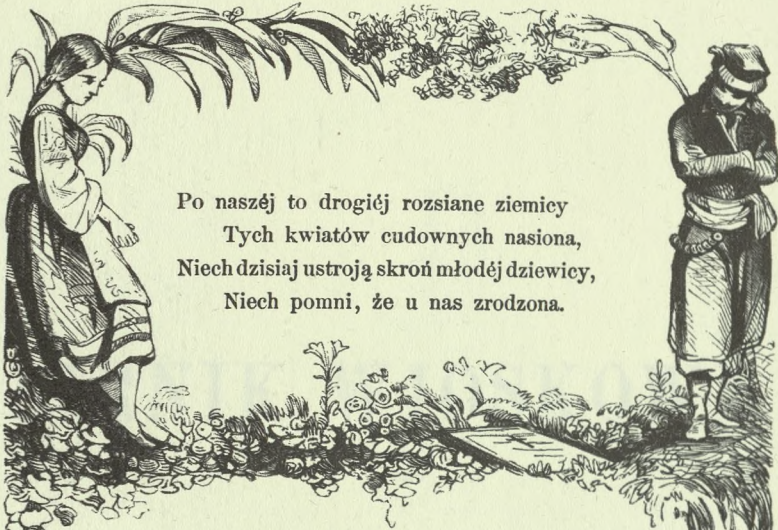




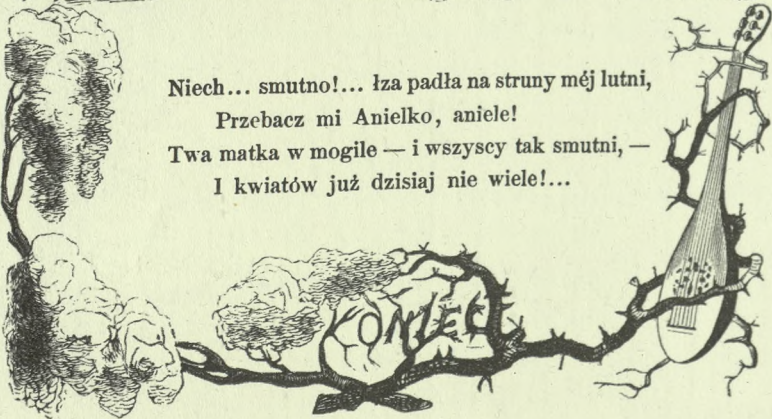
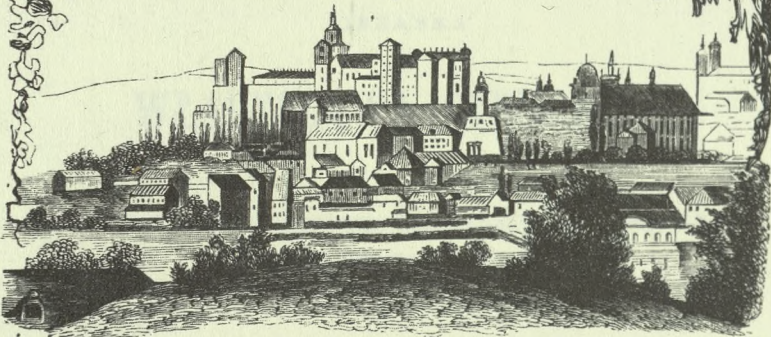
Fijolek się kryje na trawek kobiercu,
Lecz malca wynajdą po woni;
Ty skromność fijołka zachowaj w twém sercu
Przed burzą cię trawka zaślioni!



O! z temi kwiatami, jak z wiarą, nadzieją,
Przepłyniesz po wirach i głębi;
Ni lato upałem, ni jesień zawieją,
Tych kwiatów nie spali, nie zziębi.



Po naszej to drogiéj rozsiane ziemicy
Tych kwiatów cudownych nasiona,
Niech dzisiaj ustroją skroń młodéj dziewicy,
Niech pomni, że u nas zrodzona.



Niech... smutno!... Iza padła na struny méj lutni,
Przebacz mi Anielko, aniele!
Twa matka w mogile — i wszyscy tak smutni, —
I kwiatów już dzisiaj nie wiele!...

LIRNIK WIOSKOWY.

—
SIELANKA

WŁADYSŁAWA SYROKOMLI.

DRZEWORYTY RYSUNKU FRANCISZKA KOSTRZEWSKIEGO, RYTOWANE PRZEZ
P. P. PISAN I SOTAIN.



I.

iro ty moja śpiewna! z czarodziejskiego drewna
Snadź ciebie wyrobiono!

Skoro wezmę cię w ręce, gdy twą rączkę nakręcę,
Zaraz mi kipi łono;

Czuję radość nieznaną, jakby na sercu grano,
I smutno i wesóło.

Jam szczęśliwy, bogaty, gdy od chaty do chaty
Przechodzę całe sióło!

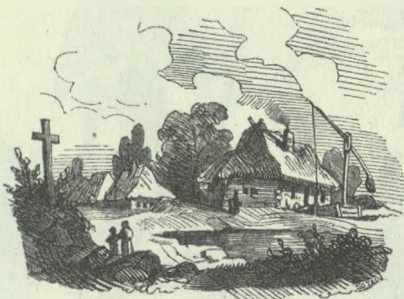
Z tobą się nie napieszczę: i dzień, i noc, i jeszcze...

Jeszcze grałbym bez końca;

Aż mi się w piersiach warzy, aż mi do bladój twarzy

Uderza krew gorąca.

Niech sobie boli ręka, niech sobie serce pęka,
Przecię tonów nie zniże.
Nie żałuję méj głowy, wszak ja lirnik wioskowy
Skonam grając na lirze!



II.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
Niebezpieczne narzędzie!
Jakby w piekle, jak w niebie, kto się dotknął do ciebie
Wiecznie pamiętać będzie!
Wnet go dumka uniesie, wnet sercu kochać chce się,
I tęsknota ogarnie.
Tyś pokaraniem Bożém, z tobą jak z ostrym nożem
Nie żartować bezkarnie.
Bo noże ciało bodą, a piosnka duszę młodą
Jakby ostrzem przenika;
A gorsza jeszcze bieda, że świat i wiary nie da:
Co tam w duszy lirnika?
Co oni wiedzieć mogą, że mi tak w piersiach błogo,
Że mię tak chętką bodzie:
Grać od serca, grać wiele, Panu Bogu w kościele,
Dobrym ludziom w gospodzie;



Grać przed moją jedyną, niech ją piosnki obwiną,
Niech ją dźwiękiem otoczą,
Czy pracuje we żniwa, czy po pracy spoczywa,
Czy się bawi ochoczo.
Patrzcie na dziewczę moją! przy niej chłopcy się roją,
Śmieszne, śmieszne ludziska!
Jeden wąsem się chwali, drugi mieczem ze stali,
Trzeci srebrem polyska.
Mnie Bóg więcej przeznacza, — znaj co hardość śpiewacza,
Ja przed nikim nie zniżę,
Ani pieśni, ni głowy, — hardy lirnik wioskowy
Skonam grając na lirze!

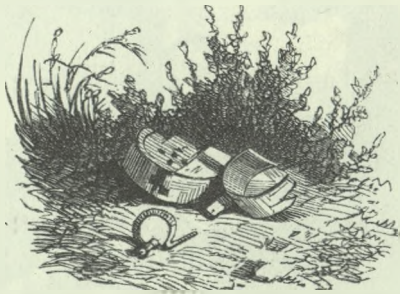


III.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna,
Wątle z tobą nadzieje!
Snadź twe piosnki nie piękne, czy przed Bogiem uklękne,
Czy dla ludzi zapieję,
Tylko rozgwar twój znudzi Pana Boga i ludzi.
Serc braterskich nie zjedna;
Bo każdy z towarzyszy, słyszy jakby nie słyszy,
O dolo moja biedna!
Kiedy czasem się zdarza, że u stopni ołtarza
Ku Bogu głos wyteżę,
Ksiądz na mnie patrzy gniewno, że muzykę cerkiewną
Smutnym tonem mitreżę.



Kiedy pójdę we święta, gdzie się bawią dziewczęta,
Młodzież i starcy w domu,
Kłnę, że w piersi mi wrosło pieśnio-twórcze rzemiosło,
Lub zapłaczę kryjomu.
Dziewczę słucho lirnika, ale duszę zamyka,
Mnie się serce rozpada. —
Ja pieśnią serca proszę, — ona rzuci trzy grosze,
I z innym płąsa rada.
Starzec westchnie i powie: „Za mych czasów grajkowie
Toć to grali dla duszy!
Dzisiaj idzie w zawody jakiś młokos bez brody;
Trąbić mu w róg pastuszy!“
I tak wszyscy zebrani, jeden chwali, ten gani,
Kłaniam, kłaniam uprzejmie!
Otoż wielka mi łaska, że ktoś w dłonie zaklaska,
Ale serce odejmie!
Liro! próżnaś przynęty, strzaskać by cię na szczęty
Z ciebie ciernie i krzyże!
Lecz tyś promień méj głowy, — wszak ja lirnik wioskowy
Skonam grając na lirze!



IV.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
Ludzie łzami mię poją!
Tyś dla mnie ulgą Bożą, a gdy mię w grób położą,
Ty będziesz chlubą moją.
Ej rozgłośnie, rozgłośnie, twoje echo urośnie!
Zolbrzymieją me słowa;
Pójdą z kraju do kraju, do samego Dunaju,
Do samego Kijowa.
Kiedyś w okno sąsiada cudzych ludzi gromada
Ciekawie zakołata:
„Przyszliśmy patrzeć dziwa, gdzie wasz lirnik spoczywa,
Lirnik głośny u świata.“
Wtedy z całego sioła ciekawość lud wywoła,
I będą czynić wnioski,
Szeptać ściskając plecy: „Zkąd ci ludzie dalecy
Znają pieśni tej wioski?“



Wiosce chluba urasta; młodzian, dziewczę, niewiasta,
Przed ludźmi z cudzej ziemi,
Westchnieniem i gawędą słać lirnika będą,
Co śpiewał i żył z niemi.
I powiodą przybyszy do cmentarnej zaciszy,
Gdzie przy sosnie trzy krzyże;
I rzekną wznosząc głowy: „Tu nasz lirnik wioskowy
Skonał grając na lirze!“



PRZYGODY

JP: BENEDYKTA WINNICKIEGO,

OPOWIEDZIAŁ

WYDAŁY WYD. POL.

DRZEWORYTY RYSUNKU LEONARDA STRASZYŃSKIEGO, RYTOWANE PRZEZ P. LAVIEILLE
PISAN, HOHENFELDEN.



PRZECODY

PANA BENEDYK WINNICIEGO
w podrzy jego

Z KRAKOWA do NIEŚWIEŻA
1 ROKU

1766

I POWRÓT
W
DOM

RODZIELSKI

OPWIEDZIAŁ

W POLI



LS.

„Papką, czapką i szkapką,
Solą, rolą i wola,
Ludzie ludzi niewolą!“ —

* * *

„Nudzi!“ — Bo stary; a starych to wada.
„Nudzi!“ — Wiesz czemu? bo prawdę powiada.
Lecz kto ma prawdę i przyszłość na pieczy,
Znać téż powinien wszystkie dawne rzeczy.

Nie dziśto się działo; ot, kiedym był młody,
Oddał mię mój ojciec na dwór wojewody;
Więc jeszcze zaznałem téj dworskiej polewki,
Zaznałem i dwory i panny i zamki,
I teto od ojców sławione nam śpiewki:
„U dworu wielkiego trzymaj się choć kłamki!“

Pan Cetner siadywał w Krakowcu bywało,
Lecz dziwnie tam jakoś na dworze się działo;
Coś niby z francuzka i z polska potrosze,
A modnie to było, (jak teraz już wnoszę)
I nie tak jak zwykle po dworach u panów:
Pan Cetner nie lubiał mieć licznych dworzanów,
Na łowy nie jeździł, o niczem nie wiedział,
Do konia nie tęgi, w pokoju sam siedział
W trzewiczkach, z książeczką, — coś cedził, chorował,
I tylko Francuzów i kwiaty hodował.

I było też smutno w Krakowcu na dworze,
Jak gdyby *devotus* człek siedział w klasztorze,
Lecz dobrze, mówili, do pióra młódz wkładał, —
Więc ojciec mię oddał i trochem się nadał

Jak cały Krakowiec szły pańskie zielniki,
A kwiaty przezwane na wszystkie języki,
Na dworze, pod szklami, pod siatką, pod błoną,
Na ziemi i w wodzie; iż tylko tam pono
Onegoto drzewa im jeszcze nie stało,
Cobyto, jak w bajce zakłète śpiewało
I jabłka co nocą rodziło im złote.
Ej miał téż tam *Musie Zardinier* robotę!



Dopieroż przy stole bywało się znudzę,
Bo tylko chwalono dowcipy gdzieś cudze,
I kraje, zwyczaje i księgi i lice
I jakieś francuzkie sławne nierządnice:
A o czémto mówić naówczas po kraju,
Jak uszy poczeiwszy, nie było zwyczajju.

Pan Cetner, choć sam się był w kraju urodził
I do szkół jezuickich we Lwowie był chodził,
Gdy potem odwiedził postronne gdzieś kraje,
Wniósł z sobą do Polski dziwaczne zwyczaje.
Więc można to sobie z łatwością wystawić,
Jak temu rad byłem, gdy raz nam powiedział:
„Mam waszmość do panów, mój braci, wyprawić.“
I kiedym na koniu z listami już siedział,
A zwłaszcza, gdy podróż w aspektach zbyt miła,
Mnie bowiem pan oddał list do Radziwiłła.
Bo były powstały po kraju rozruchy,
I różne się tarły partye i duchy:
Pan Cetner za królem zniewalał umysły,
Bo łączył obydwóch stosunek dość ścisły,
Gdyż ze szkół się znali obydwaj panowie,
Z konwiktu od księży Jezuitów we Lwowie;
Gdzie razem się zbiegły chłopięta ziem. ruskich:
Dwóch było Potockich, Krasickich, Rzewuskich,
Trzech Ciołków i Cetner, co razem jak braty
I w piłkę grywali i bili w palcaty,
I razem na jednej ławicy ligali,
I razem się nie źle potem kierowali;
Bo jeden wziął mitrę, a drugi buławę,
A trzeci wziął laskę, a czwarty wziął sławę,
A piąty, pan Cetner, został wojewodą,
A sławny Stanisław światłem i urodą
Siadł nawet na tronie; a kiedy królował,
Więc dawnych przyjaciół w pamięci zachował,
I świadczył im łaski, nawzajem kochany.
Więc otoż i Cetner był panu oddany,
I słał mię podówczas na Litwę z listami.

A miałem podówczas ja szkapę kochaną,
Lecz piękność mię w koniu od dawna nie mami;
Przyciężką miał głowę, *głowaczem* go zwano:
„Weź sobie innego“ mówili dworzanie,
A na co innego? myślałem mosanie:
Koń czuły i nożny i twardy do drogi,
Adwokat niech głowę, a koń niech ma nogi.
I dobrzeto bywa, gdy piękność nie mami;
Bo z razu jechałem znanemi stronami
Wraz z drugim dworzanem, co został w Ostrogu;



Lecz kiedym już zabrnął w zapadłe Polesie,
Myślałem sam sobie: ha, oddaj się Bogu!
Zła będzie rozprawa z tobą panie biesie!
Bo mazią po piasku te mile się wleką,
I chłodno i głodno i do dom daleko,
A nawet do karczmy. Raz jadę dzień cały
Przez piaski i groble, przez błota, zawały,
I karczmy dojeżdżam dopiero wieczorem.
W karczemce żyd siedział jak cygan pod borem;
Tu *głowacz* strudzony, tum głodny mosanie,
Więc fuknę na żyda: A czego dostanie? —
„Jest starka, są jaja....“ A owies? — „da nie ma.
Lecz niech się pan przecie na chwilę zatrzyma,

Bo gdzież pan pojedziesz? wszak noc już zapada,
Po puszczech rozboje, i sama noc zdrada!
I pobiegł mi wódki utoczyć skwapliwy.



Za stołem w karczemce dziad siedział sędziwy.
I kiedy żyd odszedł, dziad do mnie powiada:
„A niech pan nie wierzy i tém się nie biedzi,
O milę jest karczma, katolik w niej siedzi,
I będzie czém konia pokrzepić i zdrowie,
Tam zwykle podróżni nocują panowie.“
Więc siadam i jadę — lecz jadę i jadę,
I widzę, że trudno téj puszczy dać radę;
Ni karczmy ni wioski, a koń się sfrasował;
Spojrzałem na kwoczkę, z północy już stała.
Więc biłem się z myślą — ha, będę nocował!
Bo już téż mnie chętka i do snu zbierała,

Więc konia puściłem, zjechawszy kęs z drogi,
Kulbakę pod głowę, linewkę do nogi,
I ległem, pacierze zmówiwszy w pokorze,
Lecz usnąć nie mogłem; wiatr świstał po borze,
I kkliwie mi było. Gdy człowiek frasowny,
Najlepszy towarzysz, choć nie zbyt wymowny,
Jest ogień i lulka: gdy ogień ów błysnie,
Człek dłużej z smutnemi myślami nie kiśnie;
Gdy dymek podleci, gdy płomień wystrzeli,
Coś dziwnie człowieka na sercu weseli,
I puszcza się światem myślami jak w drogę.
A jato na śmiało tak puścić się mogę,
Bom jato nie psował ojcom doma kaszy,
Bywałem po świecie, ba w Jasach, w Chocimie,
Jeździłem z listami i nieraz do baszy;
I tamto sam basza (choć nie chcę się chwalić)
Przyuczył mnie lulkę na dworze swym palić,
I odtąd już sobie podobam w tym dymie,
I myślę o baszy, gdy lulkę zapalę.

Więc wówczas na puszczy czyniłem tak wcale;
W tém koń mi się szarpnął i przyszczygnął uszyma,
Spojrzałem do koła, a w koło nic nie ma;
Lecz rzenie się jakieś z głąb puszczy dobywa,
A rumak mój odrżał i znowu się zrywa.
O zbójcach mówiono — więc przeszło mnie mrowie,
A rzenie się znowu odzywa w dąbrowie.
Więc wziąłem nabity pistolet i szablę.
Za młodu o pińskim słyszałem ja djable,
Więc „kto się w opiekę...” zrobiłem znak krzyża,
A rzenie się coraz do ognia przybliża,

Ściągnąłem łeb konia i siadłem za krzakiem.
Po chwili — aż pełźnie do ognia coś rakiem,
I błysło nad ogniem, powstawszy, żelazem,
I pchnęło w mą burkę na ziemi zarazem.
Jam zmierzył do ognia i kiedym wypalił,
Nachaszcze się obwieś! czy djabeł powalił?
Zerwałem się rażno, rzuciłem się żywo,
I dalej ruszyłem nie bardzo leniwo,
I żywy i cały, przy opiece boskiej,
Dobiłem się w końcu o świcie już wioski.
Tam duby smalone prawili o dziadzie,
Co stoi po puszczech podróznym na zdradzie;
A gdym się pochwalił, zem go już zastrzelił,
Lud wszystek się wielce przytomny weselił.
Wytechnąłem tam dobrze, i dalej bez szwanku,
Stańnałem w Nieświeżu „mój panie kochanku!“



Nieświeżu siadywał Radziwiłł, pan z pa-
nów,
I ksiązę z krwie zacnej i hetman z het-
manów;

Nie darmo szlachta mawiała ówczasnie:

Że chudy pacholek w Nieświeżu, jak we śnie.
Mówili, że w skarbcu ma trąbkę, mosanie,
Co słyhać na całą już Litwę jój granie,
A strzeż się gdy łaskaw, bo zginiesz tam w złocie.
Dopieroż ów klejnot! Trzy trąby w klejnocie,

A każda jak ona, co w skarbcu ją chował;
Nie darmo się przeto i człowiek dziwował,
Gdy wjeżdżał w te progi, boć tam to zameczysko,
Budownie, warownie, a wierzchem złocisto!

Most wiódł mnie do zamku, a most był zwodzony,
Za mostem budowne wznosiły się brony,
Za niemi dziedzińce, ogrody i place,
I kościół i klasztor i pańskie pałace.



głupiałem w dziedzińcu na pierwszym już kroku,
Ujrawszy niedźwiedzia, a tuż, tuż przy boku!
A za nim gwałt luda i kądle spuszczone,
I hałas: „zamykaj, zamykaj tam broneę!”

Tu widzę szlachcica zabiorą obławą?
Bo jakby na harcu zażyli mnie wieńcem.
A co się to znaczy? Koń rzucił się w prawo,
Wziął na kieł i rusza na oślep dziedzińcem,
Wziął na kieł i mija dziedziniec przydworny,
I leci na oślep na ogród klasztorny.
Ha trzymam! — nie wstrzymać; — obławę wyboczył,
O ratuj mnie Chryste, chlust, i przez mur skoczył,
I stanął i parsknął — spojrzałem do koła,
Jedyna furteczka wiedzie do kościoła.
Więc coby tu począć?... rozmyślał — a, bieda!
Sowizdrzał, powiedzą, przed dworem ohyda!
Sowizdrzał, powiedzą; wypadek fatalny!
Et quidem nie darmo, bo dzień był feralny.



Lecz gdy się tak biedzę i patrzę do koła,
Nadbiega dworzanin od furty kościoła,
I prosi do księcia, a nibyto grzeczenie,
Tymczasem widziałem, że śmiał się serdecznie.

A kędyż mam jechać, gdy jechać nie mogę?
„Ej czy waść kpisz sobie, czy pytasz o drogę?
A nie wiem już komu — powiada — z nas obu
Nie stało tu drogi? No szukaj sposobu!
Przez kościół nie wrócisz, a w koło mur wszędy,
Więc kędyś tu wjechał, wyjeżdżaj tamtędy.
Znaj bratku, w Nieświeżu na fryców tu matnia!“
Więc passya mnie na to porwała ostatnia.
A miałem, jak naraz, po dziadu kord sławny,
Na tylcu choć ligaj, a w jaszczur oprawny;
Co będzie, to będzie! myślałem więc w duchu,
Ej urwę szlachcica na odlew po uchu!
Aż on mnie: „Mosanie! pan zadrwił z waszmości,
A nie daj drwić z siebie, do kupy zbierz kości,
I ruszaj, jak mówią: koniem i odwagą,
Więc sztuką krzyżową, pociejowską plagą.“

Co mówisz? — powiadam — tak radzisz? a dobrze!
Jak skrobnę więc konia nahajem po ziobrze,
To ledwo mnie wariat z kulbaki nie zszadził,
Lecz lekko się wyniósł i w skoku nie zdradził;
A w téjże to chwili sam księżę wypalił,
I sztofem niedźwiedzia o ziemię powalił.
Z hałasem go psiarnia dopadła i szczwacze,
A z brony na *wiwat* zagrały trębacze.

Onego niedźwiedzia, jak później mówiono,
Przed laty raz w puszczy na sieci złowiono;
I siedział przed kuchnią książęcą na kole,
I z dawna stroiły z nim kuchty swawole.
Lecz srodze téż niedźwiedź ukarał junaka:
Bo ubił kuchcika i splatał kozaka;
A czego się książę tak mocno użalił,
Że poszczuć go kazał i sztofem powalił.

Gdy wrzawa ustała i książę siadł w ganku,
Rzekł do mnie po chwili: „Mój panie kochanku!
Waszmości, jak widzę, nie trudno o plecy!
Nie chciałbym ja bronić przed waścią fortecy;
Bo dziwną do murów przebierasz się drogą....
No, widzę masz listy? a proszę, od kogo?“
— Od pana Cetnera. — „Co?! Cetner pocziwy!
Mój panie kochanku, ach jakem szczęśliwy!
Witamy w Nieświeżu; witamy wasana!
No prosić mi tutaj księdza kapelana!

Mój panie kochanku! cóż słyhać na Rusi?
Waszego starostę czy jeszcze bies kusi,
O lepsze w zawody chodzić z Radziwiłłem?
Nie z takim ja grałem, kiedy w Chinach byłem.
Lecz próżne zabiegi, daremne to troski!
Radziwiłł Radziwiłłem! Kaniowskim Kaniowski!“

Tu nadszedł kapelan i listy przeczytał.
„Cóż pisze pan Cetner?“ Radziwiłł zapytał,

„Czy przyjaźń mu nasza zawsze jeszcze miła?
Czy kocha, jak dawniej, sługę Radziwiłła?“



Ha, nie wiem co pisał, bo prawil ksiądz z cicha,
A książe się fuknął: „A co mi u licha!“
A potem się znowu trochę udobruchał,
I głaskał czuprynę i mrucał i słuchał;
A ilem zmiarkować mógł z całej rozprawy,
Zapraszał go Cetner po coś do Warszawy.
Ksiądz silnie nalegał; ja stojąc przed nimi,
Patrzałem na wszystko. Przed gankiem na ziemi
Leżało niedźwiedzich skór kilka rozbitych,
Per modum kobierca, szkarłatem zeszytych,
A na nich stał stółek żelazny, składany,
I stolik do ziemi kobiercem zasłany.

Na berle stawiono, przy pańskim tuż boku,
Sokoła *kubusia* z kapturkiem na oku.

Tu księciu zazwyczaj, gdy dzień był pogodny,
W rozmowach zwykł ranek był schodzić swobodny;
Wróciwszy z kaplicy tu zwykle zasiadał,
I prawił z panami i śmiał się i śniadał;
I służba tam nieraz uśmieła się z duszy.
W dziedzińcu harcował nadworny koniuszy,
Lub gościom na pokaz ogiery gnał w kole;
Tą razą gwintówka leżała na stole.

„Rozumiem!“ rzekł książę „wszak mamci ja głowę,
A pono i moja nie taka zbyt płaska,
Trzy grosze wart łaska, trzy grosze niełaska!
Daj pokój!“ — i do mnie obrócił już mowę:
„Mój panie kochanku, upraszam waszmości,
Na wszystkie afekta i wszystkie miłości!
W tój porze, pod jesień, czy jest tam sumienie?
Wyciągać mnie z domu na lada zachcenie?
Ba, dobrze mu mówić: Radziwiłł niech jedzie!
Ta tu mi pan Rejtan wystrzela niedźwiedzie;
Gdy trąbka nie grywa, to choćby nie była.
Ej panie kochanku, zgubisz Radziwiłła!
Pofolguj na Boga! ja teraz nie jadę,
Lecz do mnie waść serca nie psuje ztąd sobie,
I bądź mi spokojny, bo weźmiem my radę.
Dla pana Cetnera, co mogę, to zrobię;
Lecz jechać nie mogę, ponowa za pasem;
Nie mogę! No, wołać marszałka tymczasem.“

Gdy nadszedł marszałek, spojrzałem: *persona!*
Ej sztuka zuchwała, z szwedzka podstrzyżona,
A na nim wenecka saita, pas lity
I w koło z czerkieska bramowane szyty!
Sam poszedł na księcia, gdy rozkaz dał w ganku.



„A jakże ci piszą mój panie kochanku?
Niech dowiem się, proszę, kto łaskaw zagości?“
— Benedykt Winnicki, sługa księcej mości! —
„Winnicki? no proszę! a znałem ja dziada!
A byłto prawdziwy karmazyn — człek setny;
Odstąpił mi w Łęcznie turczynka nie lada;
Lecz widzę i Wasze junosza nie szpetny.
Mój panie marszałku! zalecam waszmości,
Pan łowczyc Winnicki niech mile nam gości,

Syn zacnej rodziny, z daleka się trudził,
Uraczyć, pamiętać, by nam się nie nudził,
Bo prawią na Rusi nie bardzo tam mile,
Coś o tój botwinie i o Radziwille.“

Skłoniłem się panu, za afekt dziękując,
A w sercu się wielce z respektów radując;
Lecz kiedym się później z marszałkiem pobratał,
Tom figle mądrości na piękne już płatał;
A uszło, bo człowiek był młody i pusty.



amiejętam, w Nieświeżu przepędzić zapusty
Zjechała tam była pani Sołtanowa,
A razem z jēj dworem panna respektowa;
Ej panna jak tarant! a tęga, osadna,
Kochana Staniecka! a ładna bo ładna!
Bo co to za buzia, za rączka, za nóżka,
Do tego dołeczki w jagodach — a mrużka!
Jak mrugła ślipkami, zginałem z kretesem!
Lecz trudno iść było do panny obsesem;
Bo byłoto dziecię pieszczone i ważne,
Szły na nią klejnoty i włości posażne,
I perły kosztowne i dziwna uroda,
Do tego we wstydzie chowana; a młoda!
Więc pono z tą panną patrzano wysoko;
A przecież jam spostrzegł, zem pannie wpadł w oko,
I oczko zapruszył i serce poruszył.

Śpiewała z partesem, jak mówią, „bez ale“
Grywała téż także na klawicymbale;
(A nie tak bezbożnie jak dzisiaj śpiewano)

Ja miałem téż także talenta ukryte:
Scholarum piarum rękę formowaną,
Łacinę téż także znałem *expedite!*
I kiedy kapelan innego pominie,
Mnie zwykle z powagą witał po łacinie:
Bonum mane, frater Mariane!

Do panien tam wprawdzie łaciny nie trzeba,
Lecz rośnie ztąd zawsze u ludzi estyma,
Gdy widzą, że w szkołach nie psował człek chleba.
Do panien dość tego rozmawiać oczyma,
W taneczku przyśpiewać, bo lubią dziewczeczki,
Chociażby z klasztoru, światowe piosieczki.



Wiec panniem światowe piosieczki pisywał,
A czasem paniencem w taneczku przyśpiewał,
Coś podał, posłużył, przymówił, pokłonił,
I niby nie za nią, a za nią pogonił.

I długośmy z sobą tańczyli, gadali,
Aż przecie samnasam zastaję ją w sali.
Więc zbliżam się do niéj w strzelistym upale,
A grała, jak na to, na klawicymbale;
Więc naprzód wysyłam komplement, a walny,
A za nim w też pędy i afekt kordialny!
Ja prawie, a panna nie wstaje z siedzenia,
I widzę, że nie ma coś do mnie zbrzydzenia,
Bo słucha; więc bliżej i zwawiej i w rączkę!
Ba w drugą! a w drugiej uczułem już drżączkę:
Więc w ramię! i widzę, że wzrok coś niesrogi,
Więc w oczko, i w pysio! — skoczyła i w nogi,
A ja w pół! Stanęła, coś troche się zrywa,
Lecz przecie wyznała, że mi téż nie krzywa.
I odtąd jam Zuzię już skrycie widywał,
I prawil na uszko, a w tańcu nie śpiewał.

Po trzykroć wracała pani Sołtanowa,
A razem z jéj dworem panna respektowa;
A ilekroć wraca, ja znowu do Zuzi!
Bo rajskie to były słodycze w téj buzi,
I święte to było tam życie mój Boże!
Czy człek był w podróży czyli to na dworze.
Bo ksiązę się także i wozil bez liku:
Trzy razy był w Wilnie za mojej bytności,
Dwa razy w Inflantach, na każdym sejmiku,
A zawsze w tę podróż zapraszał i gości.

I zwykle we wtorek rajtarya szła przodem,
Więc w środę szła stajnia nieskorym pochodem,
Więc w czwartek szedł łowczy z sieciami i psiarnią,
Więc w piątek piwniczny i szafarz z spiżarnią,



A sam pan w sobotę z splendorem a dworem,
Gdzie ja też ciągnęłam z książęcym taborem.

Perceptę to cenić tam było z rozchodu,
Bo czy to na dworze, czy w czasie pochodu,
Jak woda płynęły rejestra odbytu.
Co dusza zaprażyła, a zdrowie strzymało,
Wszystkiego dawano na dworze do sytu;
Nie ciekło, jak mówią, tam wszystko się lało!
Kapella i goście i łowy, festynie,
Nim jedno przeminie, to drugie już płynie;
A dworno i szumno, że ledwo z hałasu
W kościele wypocząć miał człowiek kęs czasu.

Z bytności tam człek się nie sprawiał nikomu,
Gdyś księcia powitał i osiadł raz w domu,
Siedź sobie choć wieki, nikt się tam nie dziwił,
„Gość w dom, Bóg w dom“ — mawiał zwykle pan Radziwiłł
I byłbym tam siedział po dziś dzień, Bóg świadek,
Gdyby mi nie licho nadniosło przypadek:
Raz czekam; w krążgankach puknęło coś korkiem,
Jak zwykle Staniecka wybiegła wieczorkiem;
Miesiączek przyświecał, siedzieliśmy sami,
Nie widzimy, nie słyszymy, aż księżę przed nami,
I woła: „Przepraszam, niech aścka też siedzi!
Zapewne chcesz aścka jutro do spowiedzi?
Rachunek sumienia, za katy, nie chichy!
Zapewne chcesz żeby przypomniął ci grzechy?“ —

Staniecka drapnęła; lecz jam stał w kąciuku.
„A jakże ci piszą mości spowiedniku?“ —

Benedykt Winnicki! powiadam w pokorze.
— „Mój panie kochanku! a to być nie może!
A przecież Winnickich na Rusi ja znałem.“
— Bo ja téż się z Rusi w te strony przebrałem. —
„A mój kochający panie i kochany!
Jakżeto? więc wasze nie moim dworzanem?“
— Do śmierci się sługą wyznaję przed panem,
Lecz jam tu od pana Cetnera przysłany,
Przy łasce książęcój miło tu się gości;
Lecz proszę o *respons* waszój księściój mości,
Bo trzeci rok mija jak listy oddałem. —
„Mój panie kochanku, patrz jak przepomniałem!
A jużto pamięcią Radziwiłł nie zgrzeszy;
Lecz panie kochanku, cóż ci się tak spieszy?
Nie kochasz mnie widzę? a ja służę braci!...“
— Ha! rzekłem, jak panu: służba wolność traci! —
„Mój panie kochanku, gdyś taki służbisty,
Toć muszę zapewne odpisać na listy.
No odwiedź mię jutro, proszę, przy śniadaniu.“ —
I odtąd już było po mojm kochaniu!
I rzewnie się wówczas na płacz mi zebrało,
Więc na tę aprensję przepiłem noc całą.

Nazajutrz rzekł książę: „A witam wasana!
No, prosić mi tutaj księdza kapelana,
Mój panie kochanku, zawołać szatnego,
Zawołać marszałka, ba i koniuszego!“

Gdy przyszli, na ucho coś prawił każdemu,
A potem ten temu, a tamten tamtemu,

I poszli. A książę: „Gdyś taki służbisty,
Toć muszę zapewne już oddać te listy;
A pozdrów nam, proszę, tam pana Cetnera,
A niech nas zaszczyca przyjaźnią i względem,
Bo nasza życzliwość i bratnia i szczerą;
A sam też odemnie przyjmij konia z rzędem,
I sygnet ten mały, mój panie kochanku!
A przecież na głodno nie rzucaj o ranku,
I wspomnij, gdy łaska, czasami też mile
Na Rusi o twoim bracie Radziwille,
I pozdrów tam, proszę, rodziców odemnie.“



kłoniłem się panu za afekt dziękując,
A w sercu się wielce odjazdem frasując;
Więc lzy też mi w oczach stanęły tajemnie,
I szedłem do dworzan znów zapieć frasunki.

Tam oddał marszałek mi pańskie darunki:

Więc konia, więc szaty, więc *jurgelt* trzyletni;
A wszystko to nowe, od podków do pletni!
Zabrałem i listy do pana mojego.
Marszałek sam wypił do mnie strzemiennego,
I dał mi pachółka — pachółek był setny,
A sygnet kosztowny, grosz także nie szpetny,
Koń, stada Sobieskich, z konopiastą grzywą,
Pas w łuskę dziergany, a kontusz z cięciwą.
Więc kocham i ściskam i siadam i jadę;
Lecz kiedym wyjechał, nie pomógł pas lity,
Zaledwom mógł sobie od żalu dać radę,
A zwłaszcza gdym wówczas był trochę napity,

Spłakałem się rzewnie! Tak żal to mi było
Wszystkiego, co serce w Nieświeżu rzuciło,
A już też najbardziej tój mojej niebogi, —
Więc smutnom się przybrał na powrót do drogi.



Gdym znowu zajechał w zapadłe Polesie,
Wspomniałem o owym to dziadzie, czy biesie,
Co drugich nawodząc, sam upadł był w jamę;
I jakoż znalazłem znów miejsce to same,
Gdziem leżąc rozmyślał i lulkę był palił,
Gdziem ogień nakładał i dziada powalił,
I w koło stał jeszcze, jak wówczas, bór niemy.
Lecz kiedy obydwa po liściach brodzimy,
Coś brzękło pod koniem; więc spojrzę: a co to?
Pacholek zsiadł z konia i szuka, — ba złoto!

Ha, boskie w tém sądy i boska to łaska!
Dziad leżał na twarzy, i wysechł jak trzaska,
Na piasku przy dziadzie trzos leżał ze złotem.
Zdobyłem więc złoto, i z małym kłopotem
Poszyłem się dobrze wracając do domu.
Więc z dobrą fantazyą, nie mówiąc nikomu,
Jechałem w świat dalej. —

Pod jesień się miało i zółkły już bory,
Więc na noc zjeżdżałem zazwyczaj na dwory;
A radzi mi byli, bom wracał z Nieświeża,
Więc codzień gościna pocziwa i świeża,
Tę codzień znajomość i codzień świat inny.
Tak w końcu się przebił ku stronie rodzinnej.

A w Gródku siadywał starosta Potocki,
Więc jego nadworny marszałek, pan Złocki,
Mój krewny, przedstawił mnie panu swojemu,
I rad był mi z duszy, jak zwykle krewnemu;
Musiałem o Litwie i księciu im prawić,
Musiałem tam dłużej tygodnia zabawić,
I kilkaśmy nocy strawili bezsennie;
Bo winem mi chłopca spajali codziennie,
Aż w końcu się wyrwał; a wiecie gdzie Gródek?
Więc z Gródka onego już blisko do Rudek,
A z Rudek na prawo gościniec prowadzi
Do wioski Kanachwost, gdzie imię wieczyste
Jest Sasów Winnickich, i gniazdo ojczyste
O którym Bóg radzi, jak o swój czeladzi....

Gdym tedy już ujrzał i sady i błonie,
I dworek rodzinny i w łące te konie,

Zawrzało mi w sercu, i lecę jak ślepy;
W tém spojrzę, aż ojciec powraca od rzepy.
Poznałem go zaraz, więc zwracam w lot koniem,
Pomijam figurę, nuż przez rów, i błoniem
Naprzeciw. A ojciec zawołał od roli,
Poznawszy mnie także: „Powoli! powoli!
Mosanie, otawa! kto jeździ przez błonia?
A nazad, figura! Zdjąć czapkę i z konia!“



ojców bywała reguła surowa;
Więc gdy mnie konfuzya spotkała takowa,
Wróciłem i czekam pod krzyżem z pokorą,
A ojciec powiada nadchodząc: „Więc, ale!
A zkądto tam waszmość ćwiczenia te biorą,
Tak koniem na ojca najeżdżać zuchwale?”

Ba także przed krzyżem nie schylić już głowy,
To, widzę, po dworach obyczaj dziś nowy?“
I zmierzył mnie, konia i chłopca surowo,
I począł potrząsać i ręką i głową:
„Ba, ba, ba mosanie! co widzę? a co to
Pacholek? koń w rzędzie? bławaty i złoto?
Nieczemu to buczo, bo widzę, buńczuczno!
I w drodze tak strojno? O niech mi waść wierzy,
Jam nie miał do ślubu poczciwszej odzieży.
Toś zhardział mi, widzę, po dworach mój synku?
Dał pan, da i ojciec swoje w upominku:
Jeszcześ mi nie wyrośł z pod władzy ojcowskiej,
Mam jeszcze ów samy *monitor* boćkowski;
Więc wasy, chociażby z za ucha, wygołę,
A ornę, jak ojciec, i skarcę swawolę!
I starą ja waści przypowieść wyłożę:

„Dobrze temu na dworze,
Komu doma pług orze.“
Co ojciec uskładał, to synek uporał.
A wasze, czyś dużo już złota wyorał?
Nieboszczyk dziad mawiał: Pocziwie w kąciku,
W dreliszku rybeńko, a według staniku!
A wasze?!...“ I nagle tu uciął już mowę,
I sierząc się, czapkę zacisnął na głowę;
A kiedym mu do nóg chciał upaść już w ganku,
„Za późno“ mi rzecze, „za późno kochanku!
Idź wasze do matki!“ — A matka nuż witać
Z radością synalka, nuż gościć, nuż pytać,
Nuż chwalić fantazyą, obyczaj i stroje:
„A dziecię kochane, a miłe, a moje!
A jakieto dworne, a mężne, a grzeczne,
A jakie to strojne, a jakie stateczne!“ —

Pocziwe matczysko spłakało się rzewnie,
I ja się spłakałem na takie witanie;
Lecz serce mi jakoś gadało niepewnie,
Bo insze o synku jegomość miał zdanie.

Przy matce bawiła podówczas panienska.
Milutkie stworzenie, wysmukła i cienka,
Anusia Terlecka — więc także mnie wita;
A kiedy odbiegła, więc matka zapyta:
„Czy nie ma już więcej pokłonić się komu?
Wszak jam was rodziła tu, przed tym obrazem,
A Bóg cię szczęśliwie powrócił do domu!“

Więc we łzach, w modlitwie uklękliśmy razem,
Za powrót w dom ojców Bogu podziękować;
A potem relikwiarz zdejmując ze ściany,
Podala mi matka, by go ucałować;
A potem dobyłem dukat poświęcany,
Przed laty mi dany w intencji najszczerzej,
Gdym z domu rodziców wyjeżdżał raz pierwszy;
A potem po takim witanu serdecznym,
Począłem rzecz swoją dyskursem statecznym,
Gdziem bywał, com widział po świetle, com robił,
I czegom się uczył i w com się sposobił,
I jakie gdzie dwory i jakie gdzie kraje,
I jacy panowie i jakie zwyczaje;
A kiedym tak jedno po drugim powiadał,
Przynieśli wieczerzę. Jegomość nie jadał
Wieczerzy, lecz obok pacierze odmawiał;
A kiedym ja matce o sobie rozprawał,
Drzwi tylko na chwilę odchylił czasami,
I mruknął spojrzawszy, i skręcił wąsami.
Źle będzie, myślałem — w tém dano wieczerzę;
Zgadałem się setnie, więc wziąłem się szczerze,
A dali, pamiętam jak gdyby dziś, grzybki,
Mądryki wyborne, konfekcik i rybki,
A matka nam była tak troche coś chora,
I chciała dyetę zachować z wieczora,
I tylko się do nas na dyskurs przysiadła, —
Lecz panna Terlecka coś także nie jadła:
A zatem sam jeden sprzątnąłem wieczerzę;
Oddałem dobranoc i idę z alkierza,
A w sieni pan ojciec za rękę mnie bierze
I mówi: „Jest jeszcze dla waści wieczerza!



I mam też ja jeszcze pomówić coś z tobą.“
I wciągnął do izby i zamknął za sobą.
„Zdejm wasze mi kontusz i żupan, szat szkoda,
Grzbietu nie, bo twardy, lecz rychło się poda.
Nauczę ja *mores!* mosanie? Więc, ale!
Tak koniem na ojca najeżdzać zuchwale?
Przed Bogiem i ojcem nie schylić już głowy?
I w drogę się przybrać w strój drogi i nowy?
Zapóźna pokora! stój mi tu, jak kolek!
Czy nie wiesz to wasze, żeś chudy pacholek?
Ba także i świętą wigilię naruszyć?
To matce jest wolno, bo w wieku i chora,
Lecz wasze chłop zdrowy, to możesz i suszyć.
Wigilia, hultaju! wigilia! pokora!“
— A jaka wigilia? spytałem niepewny. —
„No proszę? a jutro Matki Boskiej siewnój!
Kto kocha Maryą, pamięta wigilią,
A, *ut sum sodalis* za Maryą biją!“



Więc wyjął z kantorka żmiję *monitora*,
I wziął mnie za rękę i puścił mnie w kolęj:
„Religia, hultaju! wigilia, pokora,
A drelich, a olej! a drelich, a olej!
A święte to ręce ojcowskie, co biją;
Znaj rękę ojcowską, a szanuj Maryą!

Ja listy sam prześlę panu wojewodzie,
A waść do komórki o chlebie i wodzie,
Dość téj tam już służby i tego dworactwa;
A waściów pacholek (nie cierpię próżniactwa)
Więc z barwą książęcą téj chwili na kolek,
A świtem i boso do brony pacholek!“

I orznął mnie, sfukał i zamknął w komorze,
Lecz słówkam nie pisnął, milczałem w pokorze.
Nie wolno téż było instancyi wnosić,
Więc matka płakała i nie śmiała prosić.

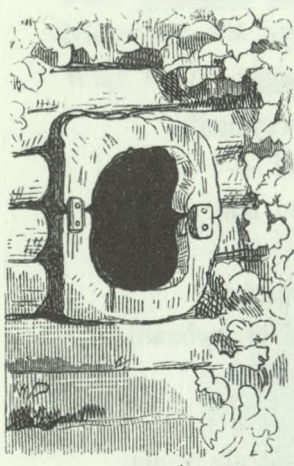


Siedziałem zamknięty, jak w *turmie* za zbrodnie,
O chlebie i wodzie przez cztery tygodnie.
Aż w końcu i srogość złamała pokora,
Bo nadniósł Bóg księdza proboszcza z wieczora.
„Gdzie synal waszeciów, mój panie Tomaszu?“
Zapytał ksiądz proboszcz; „a pokaż go przecie!
Od dworskich Starosty, w Gródku, na kiermaszu,
Słyszałem ja o nim, że bywał po świecie,
Mówili, że łebski ma szlachcic być z niego!“
Więc ojciec tak troche rad niby był z tego,
I kazał dać wina starego z kącika,
A że się to działo *hora canonica*,
Do tego, że afekt połączył ich wielki,
Więc pono wypili ze cztery butelki.

In vino veritas. Więc ksiądz się rozczulił,
I ojca jak brata do serca przytulił;
Więc zwykła surowość i ojca odpadła,
A matka się do nich z panienką przysiadła,
I słówko po słówku, powoli, powoli —
Od zwykłych dyskursów do tego co boli.

De misericordia divina ksiądz prawił,
Jak pan Bóg z lwięj paszczy Daniela wybawił,
Kierując do rzeczy, *more* oratora;
A kiedy upatrzył że właśnie już pora,
Więc rzecze: „Ej bracie! krew twoja nie woda,
To przebacz synowi! bo matki nam szkoda,
I pozwól, niech nam się na chwilę pokaże,
Gdy ludzie go chwala, niech rodzic nie karze!
Wszak jam go chrzczył przecie, jak sami to znacie;
Ot, młodość więc płochość! przebacz panie bracie!“

A matka téż także słoweczko wtrąciła;
„Więc pozwól jegomość, by złożył ukłony,
Ukłony samego pana Radziwiłła,
A ma téż i sygnet kosztownie sadzony,
Co ksiązę go kazał doręczyć waszeci.“
„Dość téj tam już proźby! — rzekł ojciec łaskawie, —
Wszakżem ja nie Herod i kocham swe dzieci,
Bez prośby mu miałem przebaczyć dziś prawie;
Więc jejmość powiadasz, więc, ale!... tak!... tego...
Że ksiązę się kłania i dary przysyła?
Tak... tego... więc kłania? (pogroza nie złego)
Więc sygnet ma oddać? i od Radziwiłła?
Niech przyjdzie! więc przyjmę do łaski do mojej,
Lecz niech mi się przecie poczciwie przystroi.“



om moich rodziców był dworek drewniany;
Więc wszystko do joty słyszałem przez ściany.
„W czym chyba na wstępie, to trzeba poprawić,
I jakbyś dziś przybył, przed ojcem się stawić.“

Tak matka radziła. — Więc strojnie i zbrojnie,
Wjechałem z pachołkiem przez bramę spokojnie,
A ojciec był w ganku, — stanąłem na stronie,
Pachołek pod lipą zatrzymał téż konie,

Jam jał się za szablę i czapkę zdjął z głowy,
I jakby w Nieświeżu w dziedziniec zamkowy
Z takową fantazyą sunąłem w te progi.
I naprzód ścisnąłem rodzica za nogi,
A potem i do nóg upadłem macierzy;
A kiedy rad ojciec oczyma mnie mierzy,
Łacińską perorą, skłoniwszy w kolana,
Witałem na wstępie i księdza plebana.
A potem do panny Terleckiej statecznie,
Jak dworski kawaler, zwróciłem się grzecznie
I rzekłem subtelnym słów kilka nieśmiało,
Jak w obec rodziców na syna przystało;
A potem już sygnet podałem ojcowi,
I rzekłem poważnie: wojewoda ksiązę,
Którego braterski afekt zawsze wiąże
Z braterstwem, a z szlachtą zawsze zgodne chęci,
Poleca swe służby panu rodzicowi,
I kazał się wiernie przypomnieć pamięci!

Spojrząwszy na sygnet, sam ojciec się zdziwił,
I nalał kielichy: „Niech żyje Radziwiłł!
Pocziwe panisko! — pamiętam przed laty
Na walnym... ba sejmie... no, nie pytaj daty!
Rzuciwszy niebogę, ubóstwo i rolę,
I ja też ruszyłem z rycerstwem pod Wolę.

Jak zwykle Radziwiłł rej Litwie tam wodził,
Więc Litwa też za nim; gdy ku nam podchodził,
Niech żyje Radziwiłł! zawołał ktoś w kole,
A jemu poczeiwość świeciła na czole.
Ja stałem na kraju, więc wziął mnie za szyję.
I cisnął do serca: bracia, niechaj żyje!

A kochasz? — zapyta — kochasz Radziwiłła?
O kocham! i szczerze tuliłem co siła;
A księżę zawołał: Korona niech żyje!
A gdy się kochają bracia, to się stroją.
A dajcież mi wina, niech zdrowię wypiję!“
I dał mi swą czapkę a wdział czapkę moją.

Ksiądz podał mi kielich, lecz ja pić nie śmiałem,
A ojciec mi rzecze: „Pij waść sercem całym!
I matka téż na to nie zechce się skrzywić;
Zdrowie Radziwiłła, nie będziem certować,
No, konie do stajni, pachółka pożywić!
A teraz ci wolno rękę ucałować,
I sprawić się ojcu z téj swojej podróży!
Zobaczym w coś urosł, boś widzę chłop duży.“



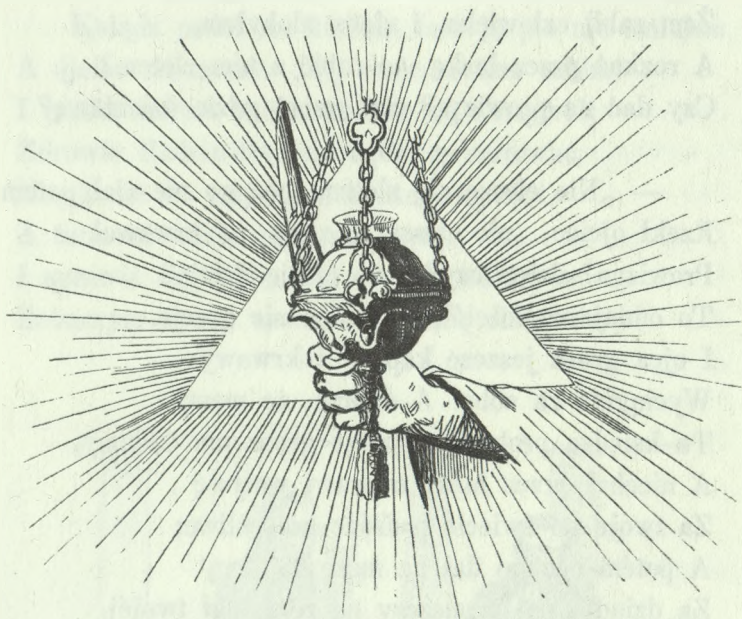
Prawiłem więc z wolna a wszystko z kolei,
Krom onych miłości i onych nadziei;
A kiedy już przyszedł na dziada powtóre,
Więc chwilę na ustęp, a potem trzos biore,
I kładę z pokorą rodzicom pod nogi,
I rzekłem do ojca: rodzicu mój drogi!
O przebacz, jeżeli niewinnie zgrzeszyłem,
Żem zabił człowieka, i złoto zdobyłem,
A rozkaż przez łaskę, co robić z tém złotem?
Czy dać na prowizyę? czy wziąć gdzie dzierzawę?

— „Nie cieszę się złotem, boś go nie zlał potem,
Rzekł ojciec, „nie cieszy to złoto, bo krwawe!
Prowizya? dzierzawy? a co ci się dzieje?
To oddaj na kościół, bo cudze nie grzeje,
I ojca grosz jeszcze kapany i krwawy
Wyciągnie za sobą. A dobrze, że mamy
Tu księdza proboszcza, więc grosz ten oddamy,
A niechaj przez łaskę odprawi wotywę
Za twoje po świecie podróże szczęśliwe;
A potem osobno daj na mszę żałobną
Za dziada, co w puszczy od ręki legł twój,
A który przed sądem już bożym dziś stoi....“

* * *

Kazałem więc ulać złotą rękę z nożem,
Co mnie nie dosięgła za przejrzeniem bożem,
Jak *votum* złożyłem ją w farnym kościele.
I dzisiaj to jeszcze, kiedy ją zobaczę,
Ogarnie me serce jakoweś wesele,
I nieraz w modlitwie i z cicha zapłacę;

Bo w ówczas wspominam szczęśliwy wiek młody,
I Nieśwież i księcia i dwór wojewody,
I ojca i matkę i podróż i dziada,
I dziwnie to wszystko do skruchy się składa;
Więc nieraz się w piersi z osobna uderzę,
I zmówię za duszę dziadowską pacierze.



OBJAŚNIENIA.

„Pan Cetner siadywał w Krakowcu bywało.“

Jest tutaj mowa o wojewodzie bełzkim Cetnerze, u którego Benedykt Winnicki był dworzaninem skończywszy szkoły u XX. Pijarów.

„Jak cały Krakowiec szły pańskie zielniki.“

Jeden z pierwszych ogrodów na stopę zagraniczną założył wojewoda Cetner w Bełżkiem na początku panowania Stanisława Augusta, i ogród ów słynął podówczas w całym kraju. Położenie miejscowe Krakowca mało sprzyjało temu: kraj równy, nieotwarty; ale sztuka zrobiła tu wiele. Po śmierci wojewody był ten ogród długo w zaniebaniu, najkosztowniejsze poginęły planty; ale ulice sadzone, pojedyncze grupy i drzewa świadczą jeszcze o dawniej piękności.

„I jakieś francuzkie, sławne nierządnice.“

Czas panowania *maitresse* nad Francją. Podobnie jak dziś są zmiany ministrów w Europie przedmiotem rozmów potocznych, tak też znano podówczas najdrobniejsze intrygi *metres* królewskich. Sława ich brzmiała we wszystkich pałacach Europy. Portrety i wizerunki z wosku i porcelany zdobiły pokoje i kominki. Zaszczycem było mieć pieski tej samej rasy i suknie lub obicie pokoju w takie same kwiaty. Znakomici podróżni, wracając do kraju, przywozili od tych dam upominki. Zabawne to były czasy, bo damy te tyle zajmowały ówczesnych ludzi, co nas dziś zmiany ministrów.

„Gdzie razem się zbiegły chłopięta ziem ruskich.“

Dziwnym trafem chowało się razem w konwikcie u XX. Jezuitów we Lwowie kilku młodych ludzi, którzy współcześnie znakomite potem w kraju zajęli

posady; mówię tutaj o hetmanie Rzewuskim i marszałku Rzewuskim, o wojewodzie Potockim, o ks. biskupie Krasickim, o Cetnerze wojewodzie bełzkim, a w końcu o podkomorzym, prymasie i królu Poniatowskim. Herb Poniatowskich jest ciołek.

„Jest starka.“

Wódkę okowitę ze zboża paloną przechowują na Litwie przez lat wiele, zanim na potrzeb ją biorą. Wódka nabiera ztąd smaku dobrego, a od kuf dębowych ciemnego koloru, zazwyczaj nazywają ją starką albo staruszką.

„Spojrzałem na kwoczkę, z północy już stała.“

Znak plejady na nocnym niebie pospolicie kwoczką zwany.

„Więc kto się w opiekę.“

Początek dziewięćdziesiątego psalmu, należącego do modlitw przygodnych, powszechnie znanych. Kto go zaś nie zna, tego wysłać na morze lub wojnę, to go się nauczyć; tak mawiali starzy.

„W Nieświeżu siadywał Radziwiłł pan z panów.“

Jest tutaj mowa o Karolu Radziwiłł panu na Nieświeżu i Ołyce, który był w rodzie swym z kolei dwunastym wileńskim wojewodą. Najpopularniejszy człowiek wieku swojego, a może typ popularności polskiego pana czasu owego. Dykteryjki jego, które sam komponował, krążą dotąd między szlachtą i wiejskim ludem na Litwie. Kłamstwa jego mają wiele ironii, a układ onych ma wiele poetycznej śmiałości. Kiedy te baśnie układał — a chwila natchnienia przychodziła zwykle po obiedzie i wśród szumu dworskiego — wówczas zwykł był mawiać: „cicho dla Boga! cicho, Radziwiłł komponuje!“ a dwór cały powtarzał: „cicho! panu się koncepta roją!“

„Dopieroż ów klejnot! trzy trąby w klejnocie.“

Herb Radziwiłłów trzy trąby myśliwskie, do których za Sejmu Unii orła białego dodano.

„Nie z takim ja grałem, kiedy w Chinach byłem.“

Bohatyrem dykteryjek Radziwiłła był on sam po największej części — ztąd ironia; a teatrem jego powieści był świat cały — ztąd śmiałość jego poetycznych obrazów; zwano też jego dykteryjki: *historyami Radziwiłła na morzu i lądzie*; ale nie łatwo ktoś tak kłamać potrafi, jak to wybornie okazał Witwicki, mówiąc o poezji ustnej starożytniej Polski. Wszakże i dawniej umiano ce-

nić te kłamstwa genialne: „*Panie kochanku, rybenko Radziwiłł*“ winien był połowę swęj wziętości tym kłamstwom swoim; wzbudzało to tęż emulacyę i Mikołaj Potocki starosta kaniowski, chcąc być równie głośnym w kraju, a nie mając dowcipu Radziwiłła, bawił się okrucieństwami i uwiecznił w narodzie swą pamięć kosztem dobrej sławy.

„Na berle stawiano przy pańskim tuż boku Sokoła *kubusia* z kapturkiem na oku.“

Był to zwyczaj unoszone sokoły, których do łowów używano, sadzać na berle na podsieniach i w krążgankach dworów lub zamków. Zakładano im wówczas kapturek, żeby nie bujały, u nóg miawały rzymek z dzwonkiem przywiązany, który zwał się *dłużec*. Nazywano tęż zazwyczaj sokoła każdego *kubuś*, a właściwiej *kubuc* przeto, bo zwykł kwilić przededniem, kiedy czas na łowy.

„Wróciwszy z kaplicy tu zwykle zasiadał.“

Wstępny krążganek w zamkach, a ganeczek z wystawką w dworach drewnianych jest właściwą i odrębną cechą budownictwa naszego. Pod takimi gankami upłynęła jedna połowa szlacheckiej przeszłości naszej, nigdzie tęż nie miał ganek takiego znaczenia. Czém korona jest dla klejnotu szlacheckiego, gdy nad nim umieszczona, tēm był ganek dla domu, dla dworu. Ztąd rozchodziły się rozkazy, do niego przychodziły z wieńcem i ukłonem gromady, pod nim biesiada; gdy dla nięj w domu za ciasno lub za parno już było; pod nim ostatnie błogosławieństwa i pożegnania i strzemienne, pod nim powitania. Wyrażenie „*progi rodzinne*“ ma coś rzewnego w sobie, czego gdzieindziej nie znają. „*Za wysokie progi*“ oznaczało dom pański, nie każdemu do przystępu łatwy i t. d.

„A był to prawdziwy karmazyn.“

Wyrażenie oznaczające szlacheica starożytnego rodu, przeto że kolor karmazynowy z dawna tylko szlachcie służył.

„Coś o tēj botwinie i o Radziwiłle.“

U naszego Radziwiłła
Botwina się zarodziła,
Chleba ani kęs.

Tak zwykli byli sobie koroniarze przedrwiwać z Litwinów. Buraki w pewien sposób przyrządzone nazywają na Litwie *botwiną*. Przyprawę takową lubią Litwini i owszem jest ona powszednią strawą ludu, ztąd żarty z Litwinów, że się w ładajakiem pokochali jadle.

„Mam jeszcze ów sam *monitor* boćkowski.“

Do batoga nie potrzeba u nas jeszcze podobno objaśnienia, ale boćkowskie bizuny nigdyś sławne, mniej dziś są znane. Gdy je zaaplikowano dla młodzieży szkolnej po konwiktach, nazywano je także monitorami politycznie.

„Marszałek sam wypił do mnie strzemiennego.“

Strzemiennem nazywano toasty na wyjezdnem pite, kiedy noga była w strzemienu.

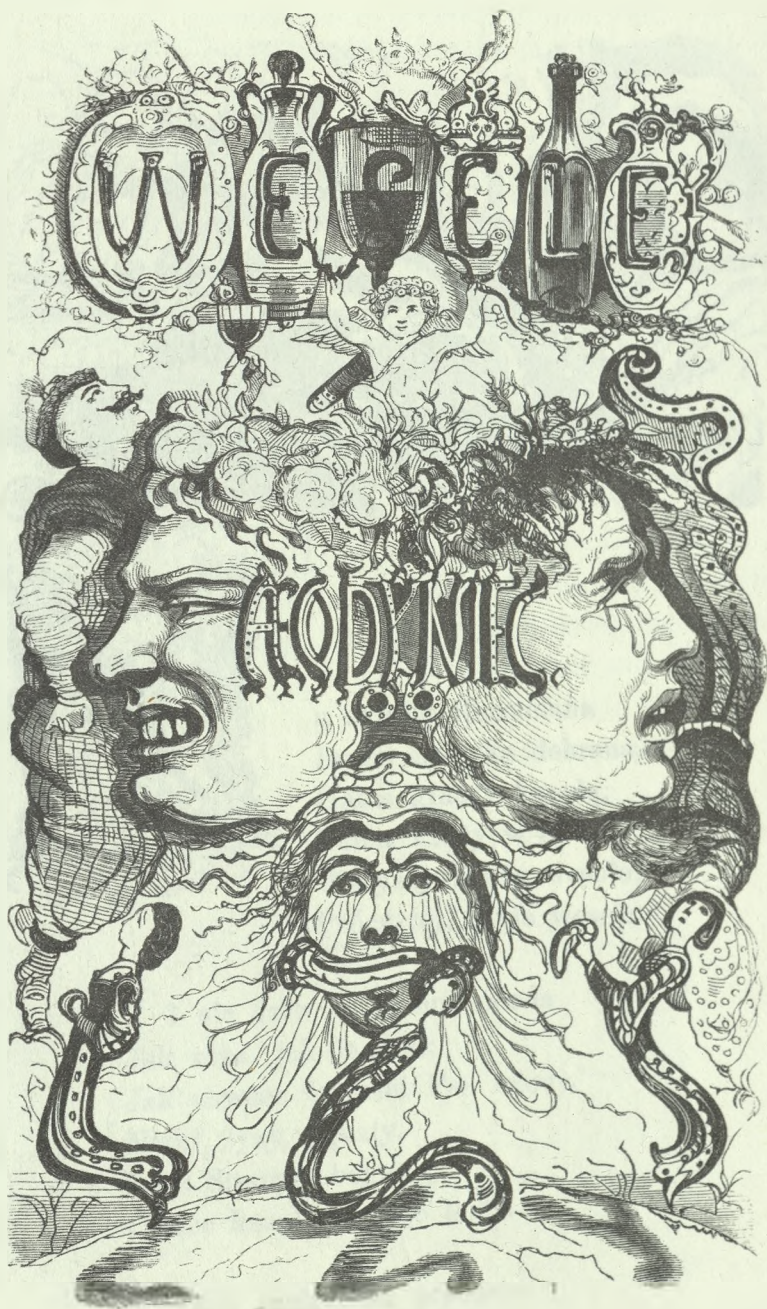


WESELE, ŁZY,

PRZEZ

ANTOJYCO CEMAJEJA OBYĆA.

DRZEWORYTY RYSUNKU MAXYMILIANA HR. FREDRY, RYTOWANE PRZEZ P. P.
HOHENFELDEN I CUI.





a zamku Kasztelana
Brzmi muzyka dobrana,
Hałas głośny kapele;
Puchar krąży w okolo,
Wszyscy bawią wesoło,
Prócz téj, czyje wesele.

I nie dziw — Panna młoda
Jak róża, jak jagoda;
Jak chwast w ziemi Pan młody,
Nizki, łysy, pękaty,
Lecz Starosta bogaty;
Ojciec kazał — więc gody.

Idzie taniec; na przedzie
Pan Starosta rej wiedzie;

Za nim szlachta się wali.
W tém „gość!“ krzyknął odz-
wierny,
I Towarzysz pancerny
Zbrojno wkroczył do sali.

Kasztelan gdy go zoczył,
Zaraz ku drzwiom przyskoczył,
Pelen gniewu i trwogi:
„Mówilem już Acanu,
Że ludziom jego stanu
Za wysokie me progi.“

— „Nie tak zbyt, jak się roi,
Gdym je mógł przejść we zbroi.“
Drwiąc mu rycerz odpowie.
„Každy z nas na zagrodzie,
Równy jest Wojewodzie,
A cóż Kasztelanowi?“ —



Kasztelan w wściekłym gniewie,
Co ma począć, sam nie wie;
Na nic już nie pamięta.
„Hola! szlachta, panowie!
Kto się bratem mym zowie,
Za drzwi tego natręta!“

Wszyscy taniec rzucili,
Wszyscy szabel dobyli,
Słyszac gniewny głos pana.
Co ty? kto ty! zuchwały!
Gdy chcesz unieść łeb cały,
Precz z domu Kasztelana!“

Młodzian się nie ustrasza,
Dobyl wzajem pałasza,
I wstrząsając nim dumnie:
„Przez Bóg żywy! w tej chwili
Po swój łeb się nachyli,
Kto krok postąpi ku mnie.

„Ale nie chcę uczt krwawić,
Nie długo mam tu bawić;
Chciałbym tylko, Panowie!
Pannie młodej winszować,
Taniec z nią przetańcować,
I wypić za jej zdrowie.

„Na tożem w krwawych bojach,
W ciągłych trudach i znojach,
Kraj piersiami zasłaniał;
By mnie lada Kasztelan,
Waszém wsparciem ośmielan,
Jak psa z domu wyganiał?“ —

— Dobrze mówi! zuch! brawo!
Zostań z nami, masz prawo!
Do stu djabłów, magnaci!
Kto chce doznać, jak nasze
Wyostrzone pałasze,
Niech łeb wzniesie nad braci.

Brawo! brawo! pójdź z nami,
Zaprowadzim cię sami,
Winszuj! jeśli jest czego.
Wypijemy jój zdrowie,
Potém bracia, Panowie,
Dalej nieskończonego.

I wnet krzyząc zuchwale,
Wiodą hurmem przez salę,
Do Kasztelanki prosto.
Zbladły drżące matrony
Sam Kasztelan strwożony,
Skrył się na bok z Starostą.

Kasztelanka struchlała,
Gdy rycerza ujrzała,
Zapłonęła i zbladła.
Chciała witać, lecz siły
Nagle ją opuściły,
Na ręce jego padła.

„Wody, wody, lawendy!“
Krzyk się rozległ wnet wszędy.
Lecz się pomoc spóźniła.
Rycerz, gdy nikt nie słucha,

Szepnął jęj coś do ucha,
Kasztelanka ożyła.



„Teraz bracia, Panowie,
Szczerych kochanków zdrowie!
— Vivant! pijmy kolejną.“ —
„Kto ich dzieli dla złota,
Niech mu niém za żywota
Czarci gardło zaleją!“

— Brawo, powiedział, brawo!
Każdy kochać ma prawo.
Wiwat śmiałość żołnierska!
Serce sercem się płaci,
Nikt nie wyższy nad braci.
Wiwat równość braterska! —

Hej muzyko! polskiego!
Dalej nieskończonego. —

Idzie taniec po sali;
Młody rycerz na przedzie
Z Kasztelanką rej wiedzie,
Za nim szlachta się wali.

Stanął — koło młodzieńca
Tancerka się okręca,
Dłoń w dłoni, oko w oku.
Wszyscy się okręcali,
Zamieszanie na sali,
Nic nie widać w natłoku.

Znowu taniec spokojny,
Lecz gdzież tancerz on zbrojny?
Próżno okiem go śledzą.
To figura niezwykła!
Pierwsza para gdzieś znikła,
Lecz gdzie i jak nie wiedzą.

W tém dziedziniec zamkowy,
Zabrzmiał brzękiem podkowy.
„Pancerny porwał młodą!
Hej! do koni, do broni!
Kto ich pierwszy dogoni,
Co chce, weźmie nagrodą.“

Rzekł Kasztelan, i prosto
Z zadyszonym Starostą
Zbiegł na dwór — już na koniu.
„Niech mych skarbów nie szczędzi,
Kto ich pierwszy dopędzi!“ —
I puścił się po błoniu.

„Gdzie tam, próżna mokoła!“
Ktoś ze szlachty zawoła,
Muszą lecieć jak z procy.
Wreszcie trzeba waryata,
Za złoto gubić brata,
Lub kark łamać po nocy.

— Dobrze mówisz, Wojciechu!
Zawołali śród śmiechu;
Krzywdą się nie z bogacim.
Przebawmy tu noc całą,
Wypijmy co zostało,
A tak nic w tém nie stracim.

Jak rzekli, tak zrobili.
A gdy wszystko wypili,
Do domu pojechali.
Starostę koń gdzieś zrzucił,
Kasztelan sam powrócił
I już nie wiem, co dalej.





Ł Z Y.

Kiedy z przeznaczeń ludzi lub
nieba,
W kraj jadącemu daleki,
Wszystko co miło porzucić trzeba,
Porzucić może na wieki,
Gorzko jest w sercu,
A łza co płynie,
Gorącym ogniem twarz pali.
Pomnisz w ostatniej szczęścia go-
dzinie,
Gdyśmy się z sobą żegnali?



Lecz gdy już stanął na obcej ziemi,
Śród obcych zaczął żyć ludzi,
Gdy mgła posepna przyszłość zaciemi,
Obecność dręczy lub nudzi,
A przeszłość w łzach się tylko maluje, —
Łzy wtedy ulgą w żalobie.
Jedno co mogę, jedno co czuje,
Samotnie myśląc o tobie.

Aż gdy cierpliwych, wiernych statecznie,
Bóg się na koniec uzali,
I oddalonych połączy wiecznie,
By siebie wiecznie kochali,
Jak muszą słodkie być łzy co wtedy,
Jedynym uczuć tłumaczem!
O moja luba! kiedyżmy, kiedy,
Takiemi łzami zapłaczem?



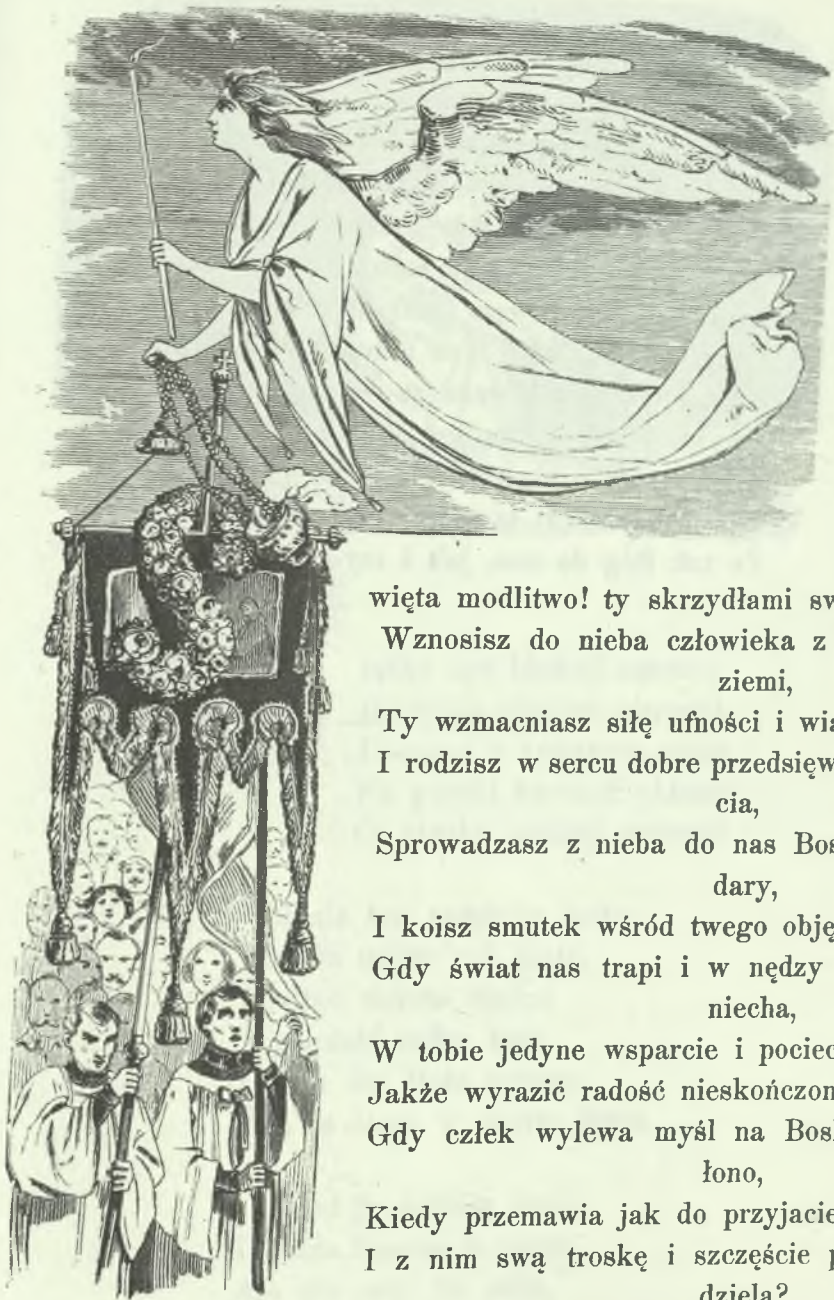
SIEROTA.

—
L E G E N D A

Ks. IGNACEGO HOŁOWIŃSKIEGO.

DRZEWORYTY RYSUNKU LEONARDA STRASZYŃSKIEGO, RYTOWANE PRZEZ
P. P. FREUND I HOHENFELDEN.





święta modlitwo! ty skrzydłami swemi
Wznosisz do nieba człowieka z téj
ziemi,
Ty wzmacniasz siłę ufności i wiary,
I rodzisz w sercu dobre przedsięwzię-
cia,
Sprowadzasz z nieba do nas Boskie
dary,
I koisz smutek wśród twego objęcia.
Gdy świat nas trapi i w nędzy za-
niecha,
W tobie jedyne wsparcie i pociecha.
Jakże wyrazić radość nieskończoną,
Gdy człek wylewa myśl na Boskie
łono,
Kiedy przemawia jak do przyjaciela
I z nim swą troskę i szczęście po-
dziela?

O, biada temu, kto w nędz życia tłumie
Świątą modlitwą wznosić się nie umie.
O błogie czasy, gdzieście się podziały,
Czasy modlitwy, czasy Boskiej chwały!?
Anioł poranku lecąc w nasze krańce,
Gdzie w domach słyszy godzinki, różańce?
Chyba z pod biednej strzechy i to rzadko,
Bo częściej uszu jego swar doleci.
I myż to przodków tych pobożnych dzieci,
Którzy codziennie wraz ze swą czeladką
Zwykli kołatać w miłosierdzia bramy?
A dziś, czy o nic prosić już nie mamy?
O, niechaj utkwi ta ojców przestroga,
Że tak Bóg do nas, jak i my do Boga!



iężko żyć biednej sierocie,
Bo wiele cierpieć potrzeba,
I służyć o krwawym pocie
Na gorzki kawałek chleba:
O, ciężko biednej sierocie!

Józia bez rodziców jedna
Została mając rok piąty,
I odtąd sierota biedna
Wycierała cudze kąty.
O, nie daj Boże nikomu
Żyć na łasce w obcym domu.

Choć ją zdobiła uroda
I dusza bogata w cnotę:
Ale kto rękę jej poda,
Kto zważać chce na sierotę?

Czy radość śmiech jój wywoła,
Czy łzę wycisnie tęsknota,
Wszystko złe: bo kiedyż zdoła
Ludziom dogodzić sierota?

Tak pięknie na Bożym świecie,
Rodzice tak pieścićą dziatki!
A ją bez ojca i matki
Nędza jak gniecie tak gniecie.
Dla innych wszystko się śmieje,
I szczęściem kwitną nadzieje;
Jój pusto i głucho w świecie,
I zimne do koła twarzy,
A tylko w życia obszarze
Łzy i cierpienia jój kwiecie,
Co zrywa o krwawym pocie:
O, ciężko, ciężko sierocie!

Gdy świat odpychał od siebie,
W strzelistój modlitwy locie
Szukała pociechy w niebie,
Bo Bóg jest ojcem sierocie.
Jedyne szczęście jój było,
I jedna chwilka jój błoga,
Nad lubój matki mogiłą
Modlić się we łzach do Boga.
I wtedy gołąbka biała
Wprost z nieba do niój leciała.
I skrzydłem muska jój lice,
I turkocze tak radośnie,
Że wypędza precz tęsknice,
I dziewczynie serce rośnie.

A wszystkie sieroty łzki
Pozbierał ten ptak niebieski,
I z niemi w rajske krainy
Białém skrzydełkiem migoce.
Czy to duch matki dziewczyny
Niesie Bogu łzy sieroce?



Po każdej takiej modlitwie
Odradzała się na nowo:
I ku dalszej z losem bitwie
Była silniejszą, gotową.

Zbyt wiele od gospodyni
Musi znosić ta sierota:
Choć wszystko, co każą, czyni,
Choć nad lata jój robota,

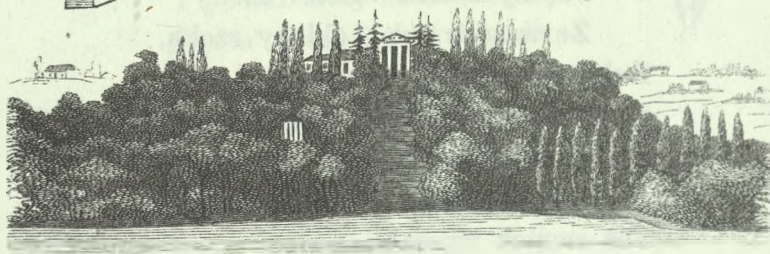
Choć wiadrami dźwiga wodę,
I drwa na ramiona wkłada,
Zawsze imie darmojada
I szturchańce ma w nagrodę, —
Podła strawa, podła szmata,
Cała jój biednej zapłata.
Lecz najwięcej była bita,
Że rankiem jeszcze do świta
Co dnia wybiegała z chatki
Modlić się na grobie matki.
Chcąc ją wstrzymać gospodynia,
Dziwnej roboty przyczynia;
Proso z makiem pomieszano,
By je rozdzielała rano.
Dziewczynka o brzasku dobie
Rzuca robotę w ogródku,
A sama na matki grobie
Błaga o pociechę w smutku.
Ale jakby litość święta
Przejęła drobne ptaszęta:
W dwie kupki ziarneczka niosą,
Osobno od maku proso;
Wraca z mogiły sierota,
I już gotowa robota.
Tak pod osłoną ptaszynek
Zwiedzała matki spoczynek.

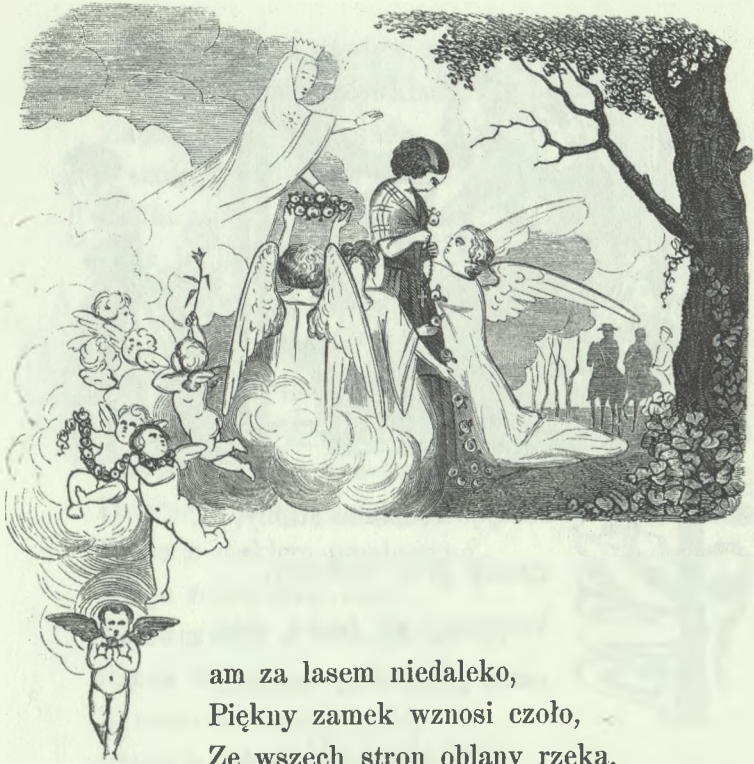
Gdy już rok szesnasty miała,
Ludziom, u których mieszkała,
Tak się sprzykrzyła sierota,
Że przed nią zaparli wrota.



**ERZ
SZ
D**

zucając rodzinne strony,
egnała grób ulubiony,
kropiwszy go łzawą rosą,
oszła gdzie oczy poniosą.





am za lasem niedaleko,
Piękny zamek wznosi czoło,
Ze wszech stron oblany rzeką,
Dalej rozrzucone sioło.
Samotrzeć przez most zwodzony,
Jechał dziedzic zamyślony,
A choć jeszcze miał wiek młody,
Już smutek wyszał jagody.
Puścił on koniowi wodze,
W świat dumania sam się wcielił:
A koń zwolna szedł po drodze,
Jakby zamyślenie dzielił.

Tak zadumany głęboko
Przybliżył się ku dąbrowie,
I rzucił na drogę oko,
A strachu przeszło go mrowie.

Ujrzał dziewczynę ubogą,
Koronkę mówiąc szła droga,
Lecz przy niej w Aniołów gronie
Szła niebieskiego uroku
Niewiasta w światła obłoku.
Jój szata jak słońce płonie,
Czoło w gwiazdzistój koronie.
I patrzy młodzian zdumiony,
Jak z ust ubogiój dziewczynie
Za każdy pacierz zmówiony
Czerwona róża wypłyne:
A gdy *Zdrowaś* odmawiała,
Wychodzi lilia biała
A te z ust dziewiczych kwiaty
Przyjmowali Aniołowie,
I spleli wieniec bogaty,
I podali swój Królowie,
Która ubogiój dziewczynie
Włożyła wieniec na skronie:
Po chwili widzenie ginie,
Tylko rajskie słycać wonie.



Młodzieniec padł na ko-
lana
Przed tą dziewczyną
ubogą,
A ona przejęta trwogą,
Uciekać chce od mło-
dziana:
Bo jój oko nie widziało,
Co się na modlitwie
działo.
— O niechaj ciebie nie
trwoże, —
Wyrzekł młodzieniec
nieśmiało,
— Wszak cię miłosier-
dzie Boże
Dla méj pociechy ze-
słało;
Dozwól niech wszystko
przełoże.



Parę lat temu minęło,
Jak niebo rodziców wzięło,
I dotychczas po ich zgonie,
Moje oko we łzach tonie:
A smutek był takięj mocy,
Że zwiędło mi życie wcześniej.
Ale właśnie przeszłęj nocy
Rodzice rzekli mi we śnie:
„Czemu się żal twój przeciwi
Boskięj woli łzami swemi?
Wiedz żeśmy więćęj szczęśliwi,
Jak najszczęśliwsi na ziemi.
Za tve do nas przywiązanie,
Pan Bóg cię pocieszyć w stanie, —
Bo choć uboga dziewica
Przeznaczona ci na żonę, —
Ale jęj Bogarodzica
Włoży kwiecistą koronę.“
I właśnie oto w tęg dobie
Widziałem w Aniołów gronie
Matkę Boską, która tobie
Wieniec włożyła na skronie.

Trwożnie spogląda dziewica,
I od wstydu się rumieni:
A w tém z niebieskiej przestrzeni
Biała leci gołębica,
I coś wesołego grucha
Biednej sierocie do ucha.
Józia podnosi młodziana,
Co klęczał u jój podnoża,
I cicho rzekła zmieszana:
— „Niech się dzieje wola Boża.“ —
I jeszcze nim się dzień skończył,
Już przed ołtarzem w kaplicy,
Stał młodzian obok dziewicy,
Pan Bóg ich wiecznie połączył.
Józia do swych dni ostatka
Była to sierotom matka.

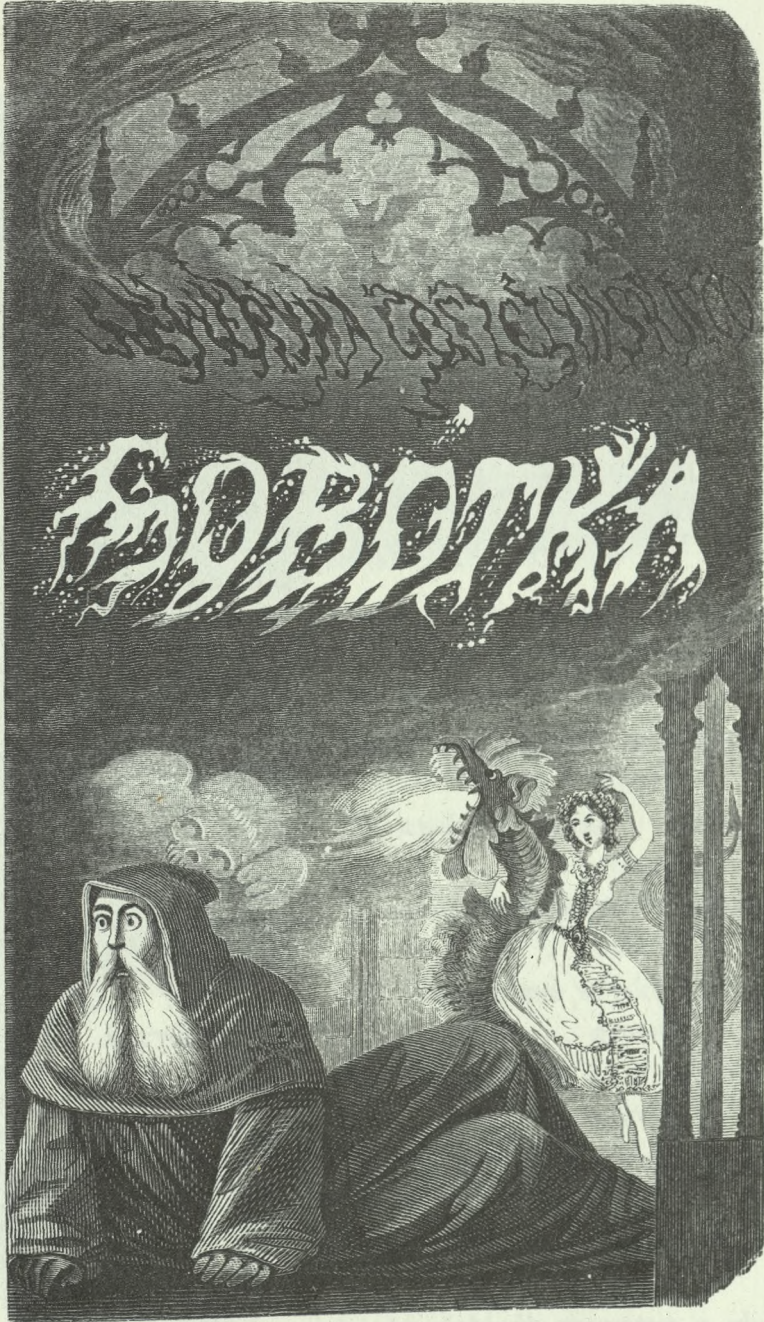


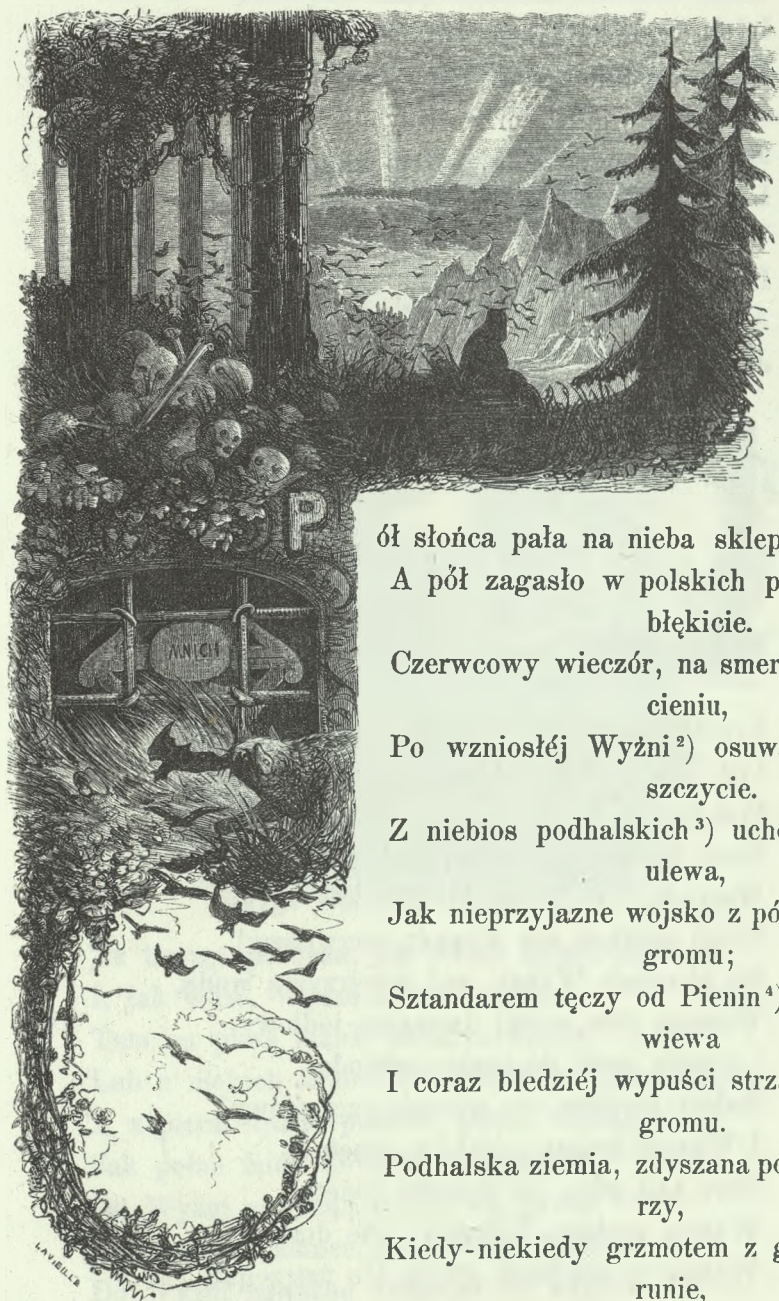
SOBÓTKA.

—
POWIEŚĆ

SEWARDYNA GOSZCZYŃSKIEGO.

DRZEWORYTY RYSUNKU LEONARDA STRASZYŃSKIEGO, RYTOWANE PRZEZ PP. LAVIELLE,
PISAN, SOTAIN.





ół słońca pała na nieba sklepieniu,
A pół zagasło w polskich puszcach
błękitach.

Czerwcowy wieczór, na smereków
cieniu,

Po wzniosłej Wyżni²⁾ osuwa się
szczyt.

Z niebios podhalskich³⁾ uchodzi
ulewa,

Jak nieprzyjazne wojsko z pól po-
gromu;

Sztandarem tęczy od Pienin⁴⁾ po-
wiewa

I coraz bledziej wypuści strzał
gromu.

Podhalska ziemia, zdyszana po bu-
rzy,

Kiedy-niekiedy grzmotem z głębi
runie,

Kiedy-niekiedy z lasów mgłą zakurzy,
I jak westchnienie po górach ją sunie.
Na wszystkie strony uciekają chmurki
Łódkami wiatru, przez lasy i wzgórki;
Milczkiem wypelzną, przemykają rączo,
I z wodzem-burzą, na wschodzie się łączą.
Wolnieje potok, co przed chwilą szalał;
Las rżęśno płacze kroplami dżdżowemi,
A cały przestwór, od nieba do ziemi,
Jasny, jak gdybyś kryształem go nalał.



Uby góralom ten wieczór czerwcowy!
Na piersiach Wyźni spłonie stos Sobótki.
Brzmią długie trąby, przygrywają dudki,
Krociami dzwoneków igrają parowy,
Pod biciem siekier jęczą ciemne lasy,
Pod trupem jodeł wzgórze się wzdrygają,
Nuca juhaski, hukają juhasy: ⁵⁾
Wszystko wre gwarem i góralów zgrają,
Drogi góralom ten wieczór czerwcowy!
Na piersiach Wyźni, nad przejrzystą wodą,
Wzniosą stos wielki dwunastu-jodłowy,
I roczną ucztę do ranka zawiodą.
Święty góralom ten wieczór czerwcowy!
I Wyźnia święta góralską ponętą:
Góra nad góry, na Sobótki święto.
Wyźnia postawą Kluczek ⁶⁾ nie dosięga,
Wyźnia w obłokach głową nie ustrzęga;

Ale na Wyżni pół-odkrytém łonie,
Wabiąca woda lustrem nieba płonie,
A z jasnych skroni las płynie stu-wzory:



Tu brzozy puszcza, jak włosy dziewicze,
I, jak włos, Wyżni ocienia oblicze:
Tam na pierś lekkie zarzuca ubiory,
Lub z niskich krzewin, lub z drzew jasno-listych;
A z piersi spada puszczą gęstą, czarną,
Jak pełne fałdy strojów uroczystych.
Do Wyżni zewsząd potoki się garną
I wiecznym szumem grają u podnóża;
Do Wyżni zewsząd zbiegają się wzgórza,

I wiszą w koło, zasłony łańcuchem,
By wiatr zimowym nie wiał na nią dmuchem,
By wschód zawczesny nie drażnił jój oczu.
Wyżnia, jak pani, patrzy ze stolicy,
Na gród olbrzymi, olbrzymki-Łomnicy,⁷⁾
Co błękitnieje w południa przezroczu.
Pomiędzy Wyżnią a nawalnic miastem,
Pod wałem z głazów, gdzie puszcze są chwastem,
Pod wieżycami, gdzie z granitu dachy,
Osada z gromów, a z orłów szyldwachy,
Lśni nowotarskiej-doliny opona,⁸⁾
W srebrnych potoków węże zapleciona,
Tatrańskich borów cieniem narzucona.
Wysłana lasem głęboka dolina,
Po której stopniach nurt Łopusznej schodzi,⁹⁾
Cały ten widok jeden promień spina,
I do nóg Wyżni w hołdzie go przywodzi.

Jeszcze ot! jedna chmurka przeleciała:
Las ciemny przejrzał, wystrzeliła skała;
Na skale jodła, i pięciu leżało, —
Leniwy tuman oblał im podnóże,
Oni leżeli widziadłami w chmurze,
Jakby w powietrzu, z jodłą i ze skałą.
Brodate twarze, odzież ich jednaka:
Czerwono szyta guńka na opaszki;
Rzęsno jarzące szkiełka u kołpaka;
Kończan na plecach, sążniowe watażki,
Szerokie pasy, za pasem topory,
Włos pokręcony w obfite kędziory,
Tu wisiał, w krasne wstążeczki ujęty,
Tam w skrzydła wiatru płatał swoje skręty.



Jak orle skrzydła, gdy za łupem świszczą;
Jak orle oczy, gdy nad łupem błyszczą:
Tak groźne, bystre i twarze i oczy
Gości, co Wyżnię śpiegują z uboczy.
Rozbójnik Janosz spoczywał za nimi,
Głazem, co z wieków wjada się w pierś ziemi,
Najgłębiej skryty w jodłowém zacieniu.
Znać go po wzroście, znać go po wejrzaniu.
Zaden mu góral w niczém nie zrównywa;
Słynie jak Krywan! o nim Ludek śpiewa:¹⁰⁾

Janoszu! dzielny góralu!
Zkąd ty wziął się na Podhalu?
Taki rosły, taki wdzięczny,
Taki silny, taki zręczny?

Ty wysoki, jak Łomnica,
Jak lawina, twa prawica,
Jako Tatry, twoje barki,
Jak lot gwiazdy, bieg twój szparki.

Zatrzymasz orła w obłoku,
Gdy mu utkwisz oko w oku;
Ty obejmiesz ten buk w borze,
Co go objąć trzech nie może.

Janoszu! dzielny góralu!
Zkąd ty wziął się na Podhalu?
Nie kobieta, ale skała
Zrodzić nam ciebie musiała.



dzisiaj dnie jego życiem zbójców płyną;
Lód i przepaście jego dzisiaj dziedziną.
Po ciemnych jamach z pułaczami mieszka,
Trop dzikiej kozy zwykła mu dzisiaj ścieżka.

Co o nim mówią, w głowie się nie mieści,
Jak o straszędzie, krążą o nim wieści.
Tutaj ze mgłami spada na doliny,
Tu duchem zbiega nietknięte wyżyny;
Tutaj, od strzelców odważnych naparty,
Znika w szczelinie tak wąsko rozdartej,
Że się za ledwo godzina prześliznie.
Z wierzchów, gdzie kamień na proch się rozbryźnie,
On żywo zleci, jakby skrzydłem ptaka,
Albo jak kozioł huśta się u krzaka.
Głos ludu twierdzi, że kochanka jego,
Którą jak stracił, nikt wiedzieć nie może,
Przeobrażona w ducha niedobrego,
Tajemnie nad nim czuwa w każdej porze.
Bo trudno wierzyć, ażeby tak młody
Przebył bez duchów tak wielkie przygody,
I jedno imię wdział, jak nawałnicę,
Grzmiącą a ciemną, na całą ziemię,
Ten sam dzisiaj przyległ lodem do kamienia.
I wbił przed siebie źrenicę zmartwiałą.
Pojrzyj mu w oczy, a w głębi spojrzenia
Masz jego sławę, jego duszę całą. —



j biada, biada! tym góróm, téj głowie!
Wstrząśł wreszcie głową i ze skargą
powie:

„Jakże-tu wszystko poszło na pustko-
wie!

Wiecie? to pole gdzie młodzież zebrana
On stos buduje, one stawy jasne,
On bór świerkowy — to moja polana!¹¹⁾
Kiejsi to wszystko było moje własne.
W górę, na lewo, nie daleko wody,
Między brzózkami stały me chałupy;
Dziś, na ich miejscu, przegorzałe słupy.
W prawo od chałup leżały zagrody.
On staw był kiejsi czysty jak krynica,
Jedyna kąpiel i ryby bez miary.
Statku nie mogły pomieścić koszary,¹²⁾
Wszem smakowały mój sér i żętyca.¹³⁾
Największy płomień jarzał z méj bacówki,¹⁴⁾
Najgorsze kondle strzegły mojej trzody.
Janosz był pieśnią na podhalskie ludy,
Kasia najradniej szła tu na borówki.¹⁵⁾
Na prost za wodą, gdzie tam owa brzózka,
Pierwszegom dostał od Kasi całuska,
I tak mi serce schwycił ten całunek,
Żem odtąd przy niej, jak przy owcy dzwónek,
A ona przy mnie; odtąd trzódki nasze
Razem do koszar, razem szły na paszę.
Ona śpiewaczka, jam gracz niepośledni,

Co zaśpiewała, jam wygrał na flecie:
Długo, ach! długo żyli my tak w świecie,
Jakby my w świecie żyli tylko sami.
Raz my nad wieczór rozbiegli się biedni:
Kasia coś rwała pomiędzy świerkami,
A ja usiadłem u owego buka,
Co tam na prawo, a pod nim zdrój płynie.
Ja gram i śpiewam, Kasia ku mnie huka;
W tém przeraźliwie wrzasnęło w gęstwinie.
A już się znacznie zgęścił mrok wieczoru;
Błada ze strachu, leci Kasia z boru:
Mnich! mnich! krzyknęła; serduszko jój bije,¹⁶⁾
Drży, jak blask w stawie, a ściska mi szyję. —
Żle! pomyślałem, alem ją pocieszał;
Mówiłem śmiało, a język się mieszał.
Dobrzem ja wiedział, że nigdy daremno
Mnich nie nastraszy. A tymczasem ciemno,
Kasi do domu wypadła droga;
Nielza już było puszczać pod noc samój,
Więc się potokiem razem przebieramy,
Aż pod wieś prawie, do Dziwo-żon jamy.¹⁷⁾
Pocałowała mię jeszcze nieboga
Kiedym odchodził, prawi że bezpieczna,
I że nazajutrz znowu ze mną będzie.
Nazajutrz czekam, doczekać nie mogę,
Com się nie pytał, com nie szukał wszędzie,
Przepadła z wieścią; tajemnica wieczna
Skradła bez śladu wszystko moje drogie,
Najdroższe w życiu. Ach! jakem ją kochał!
Bliskie już były nasze zaślubiny.
Jakem ja bolał dla jednej dziewczyny!



Na jój spomnienie, jak dziecię, ja sło chał.
Stwardniałem wreszcie, i płakać przestałem:
Wszakżem już nie mógł być czém byłem przódy.
Nie się nie wiodło w gospodarstwie całém.
Owies nie rodził, wymierały trzódy,
Grad łąki trzepał, w gumna bił grom boży,
I coraz gorzej, coraz było gorzej.
Gdziem się nawinał, nie przeszło bez zwady.
Tak, zem już nie śmiał wyjrzeć między żywe.
Cóż było robić? nie znalazłem rady,
Tylko porzucić miejsca nieszczęśliwe.
Więc resztę statku puściłem na wolę,
Na wieczny odłóg przekląłem to pole,
Spaliłem chatę, zwa liłem szalasy,
I tak jak stałem, puściłem się w lasy.
Myśliłem sobie: „ha! jak zbójca, może
Między halami głową gdzie nałożę.
A jednak żyję! a po co? o Boże!“



ak się rozwodził Janosz w słowach rze-
wnych,
Złamane ręce sparłszy na kolana:
„Ode dni kilku jakaś w duszy zmiana,
A w sercu ulga; jakaś chęć do krewnych,
Do ojcowizny. Idź, idź na Sobótkę!
Ciąg le coś szepce; pójdę na Sobótkę,
Rzekłem: Haj! pójdę! zobaczę raz jeszcze¹⁸⁾
Swoją polanę, zręby swojej budki,

Może Bóg dobry chce skończyć te smutki,
Może tam Kasie znaleźć i popieszczyć.
Teraz Bóg tylko świadom, co mię czeka,
Czy bliskie szczęście, czy śmierć niedaleka!“

Zachód mdlej coraz śniegi hał pozłaca,
Ostatni odblask z cichych wód ucieka,
Spada na ziemię wieczoru powieka;
Ale na Wyżni rośnie gwar i praca,
Pnie się ku górze święty stos wspaniały
Dwanaście jodeł z gałęzi odartych,
Zetkniętych wierzchem, spodem rozpostartych,
Spiczastą wieżą ku niebu powstały.
We wnętrzu jego jeży się chróst suchy,
Czterech górali głównię rozżarzyli,
Rozkołysali, chróstem upowili,
Podęli razem silnemi podmuchy.
Grają płomyki, jak żądła węzowe,
Wyrzą co chwila z ogniska paszczeni;





agle rozjadły ogień wznosi głowę. —

Rzuca się błyskiem na sterczące
sęki,

Na niższych z razu czepia swe
sztandary,

Oblata kłody, wyziera przez
szpary,

A jad pod korę zapuszcza tym-
czasem;

Aż gdy zranione drzewa zapiszczały,
I w jasnych gwiazdach smolną krew połały,
Ogień wzdłuż stosu posunął z hałasem,
Chwyta się szczytu, siada na stolicy,
Wyrzuca na świat setne dymu kręgi,
Potrząsa w niebo płomieniste wstęgi,
I już panuje całej okolicy.

Radośna wrzawa i huczne oklaski
Przyjęły zewsząd pierwsze ognia blaski.
Na bór, daleko, spadła ćmów zasłona;
Młodzież góralska od płomieni pędzsa,
Stoi już, w koła tańczące spleciona,
Jak obraz z cieni urodzony wnętrza.
Dziewice w kwiatach, chłopcy z długim włosom,
Gęśle i kobzy, fujarki i dudki,¹⁹⁾
Wszystko to na raz uderzyło głosem,
I grzmotnym krokiem do tańca Sobótki.
Zalśniły widzom źrenice ciekawsze,
Ciekawszy Janosz wychylił się z cienia;

Westchnął, podumał, i rzecze z westchnienia:
„Hej! hej! dla czegoż ja nie ten sam zawsze?
Ażebym dzisiaj, o moja rodzinę!
I ja ze swoją wystąpił piosenką!“
Zgrzytnął: „o, bodaj wieczną cierpiał męką.
Kto potępienia mego jest przyczyną.
Niech wieczne wieki piekło łzami gasi,
I nigdy łaski niebieskiej nie zyska,
Jak ja nie mogę, bez méj lubej Kasi,
Do góralskiego przysiąc się ogniska!“
Żal tak łający, gorzki był jak piekła;
Zaświadczy jemu łza, co z ócz pociekła.
Lecz towarzysze skarg tych nie słyszeli;
A choć słyszeli, to nie zrozumieli,
Jakby to można, przez jedną dziewczynę,
Za życie zbójcy oddać swą dziedzinę,
I jednym smutkiem, smutkiem po kobiecie,
Struć swoje szczęście, zabić całe życie.
Jak rozkochani w stos patrzali oni;
I Janosz, gorzką łzę z lica otarłszy,
Za tancerzami weselszy wzrok goni.



zerzój i jaśniej, płaszcz ognia monarszy,
Przejrzyste poły w około rozkłada.
W osobnym tłumie zebrali się starce;
Głos ich poważny, roztropna biesiada;
A oczy żywsze przy brzęczącej czarce.
Z nimi matrony i dzieci zasiadły,
I czujne kondle przy nich się układły.

Do koła stosu mniejsze ognie świecą,
A każdy nową uciechę rozpala,
A każdy głośną opasany zgrają.
Pół-widne kształty za kształtami lecą:
To émą, to blaskiem, jak płynąca fala.
Płaczą się koła, ogniska mrugają,
Połyska w ogniu topór tanecznika;
I zręczny skoczek ogniem się przemyka.

A w tém od starców głos o posłuchanie.
Kiczora mówi — głowa dawno siwa, —
Zamożny gazda na wielkiej polanie,²⁰⁾
Co ku wschodowi w piękne niwy splywa,
Z góry przezwanéj mianem jego rodu.²¹⁾
We czci on wielkiéj u swego narodu.
Na jego okrzyk błysnie, mówią ludzie,
Więcej watażek niż ma owiec w trzódzie.²²⁾
Dzisiaj już tańczą jego praszczurzęta.
A chociaż sprawy odwieczne pamięta,
Jednak nikt dotąd nie postawi śmiało
Swojego barku przed jego dłoń wprawną.
Raz Janoszowi tylko się udało
Rozbroić starca, gdy ten z butą dawną
Przysiągł oczyścić góry od téj zgrozy;
Napadł go w lesie, i chciał wziąć w powrozy.
„Dzieci!“ zawołał: „taniec ja wasz chwałę,
Chwałę te pieśni; ależ wy górale,
Wy dzieci Tatrów, co u wszystkich w sławie,
Wstyd zapominać swéj ziemi w zabawie.
Znam wiele świata: widział ja za młodu
Nie mało ludzi, nie jedną opokę,

Kiedym przemierzał ślak do Carogrodu,²³⁾
Gdzie się już morze zaczyna głębokie;
Lecz niema nigdzie gór, jak nasze hale,
Ani góralów, jak nasi górale.
Owóż o halach zaśpiewajcie dzieci,
Na nutę co to od skał nazad leci.
A swemu kiedyś nasze plemię powie
To, co wam wasi śpiewali ojcowie.“
Roztropnym słowom radzi wszyscy prawie,
I chętnie skłonni ku cichszej zabawie,
I ci i owi zbiegli się w gromadę,
I coby śpiewać złożyli naradę.
Po krótkim gwarze rozwarło się koło:



Wyszły trzy dziewczki, ze wstydu rumieńcem;
Kobzy i dudki obległy je wieńcem,
Kobzy i dudki przegrały wesoło;
A gdy skończyli niedługą przegrywkę,
Dziewcki z kolei zawiodły tę śpiewkę:



Strzeżcie się o matki!
Tulcie wasze dziatki.
Pod okienkiem mara,
O zdobycz się stara:
Czapeczka czerwona,
Kosa rozpuszczona,
Ach! to Dziwo-żona.

Jako śmierć złośliwa,
A jak wiatr pierześliwa,
Podsunie się skrycie,
Ukradnie wam dziecię,
I zniknie zdradziecko.
O matko! strzeż dziecko,
Czyha Dziwo-żona.



Góralko nadobna!
Nie biegaj z osobna
W zarostej ustroni,
Strach stracha tam goni.
Czapeczka czerwona,
Kosa rozpuszczona,
Ach! to Dziwo-żona.

Jako śmierć złośliwa,
A jak wiatr pierzechliva;
Pochwyci cię w lesie,
Pod ziemię zaniesie;
Bez Tatrów, bez słońca,
Zostaniesz do końca,
Jako Dziwo-żona.



Niebogo! sieroto!
Włosy ci rozplotą,
Czapeczkę nasadzą,
Słodyczkę jeść dadzą; ²⁴⁾
Dla twego serduszka,
Za družkę, za družka,
Będą Dziwo-żony.

Dziewcze, biada tobie!
Ty przed śmiercią w grobie.
Tańczą z tobą mary,
Twe hale, pieczary;
Jak Krywan wysoki,
Tak twój świat głęboki,
Skoroś Dziwo-żona.



Ucichły kobzy, ucichły i dudki;
A ledwo skonał dźwięk ostatniej zwrótki,
Gęśl zadzwoniła, i śpiewanie dzikie
Zlało się w cichszą i miłszą muzykę:

Szczęśliwe oczy, szczęśliwe kroki,
Co świat Dziwo-żon nawidzieć mogą.
Alabastrowe wszystkie opoki,
Najdroższy kamień leży pod nogą.

* * *

Wszystkie tam wody płyną kryształem;
Każda kropelka spada perełką;
Mosty ze złota w państwie ich całym,
A z dijamentu każde światelko.

* * *

Wielkie, pod niebo, są nasze skały;
Perłami, rosy toczą się nasze;
Nasze potoki jako kryształy;
A jak noc świeże bory i pasze.

* * *

Bo u Dziwo-żon nasz się kraj kluje;
Bo u nich każdy źródł się poczyna,
Bo je wypieszczą, bo im wartuje,
Dzika, podziemna, lecz hał rodzina.

„Słyszycie?“ Janosz rzekł do towarzyszy,
„Jaką tam gędzbę wyprawują dziwy?²⁷⁾
Słyszycie bracia?“ powtórzył strwożony.
I miał przyczynę; bo we wdzięcznej ciszy,
Która śpiew pieśni, podniosły się wrony,
I rozpuściły nagle krzyk chrapliwy;
Gacki pisnęły, w gwałt huknęły sowy;
Ponurych wilków rozległo się wycie;
Ciężkich gałęzi kołatnęło bicie.
Jak żeby wichur przeleciał zimowy,
I echem śpiące szcęknęły parowy.

Janosz rozgląda, słucha, duchem trwoży,
A nie zmiarkuje, co ma trzymać o tém.
Słuch, to do drzewa, to na głąz położy:
Drzewo brzmi w głębi, skała drga łoskotem,
Jakby gdzieś końskie kowało kopyto.
Nie-rad ze słuchu, oka w pomoc wzywa;
Chce powstać z miejsca, ale nagle siada,
I już nie słucha, nie słucha, nie bada,
Tylko zdumiały wpatruje się w dziwa,
Które nie zawsze, nie wszystkim odkryto.
W cieniach zarośli, na granicach blasku,
Jakby na ramach jasnego obrazku,
Żyjących twarzy, głosów mile brzmiących,
Skał zrumienionych, jezior pałających.
I ugwieżdżony ogniami polany,
Powstaje w koło widok pół-podziemny;
Duch tam, lub człowiek mignie na przemiany;
To duch pół-jasny, to człowiek pół-ciemny.
Między pnie świerków, między cienia smugi,
Snują się gęsto postacie kobiece;
Czapki na głowach, w nieładzie włos długi,
Rozwiana odzież, okopciałe lice:
U czapek sterczą bezkwietnie paprocie:
A oczy świecą, jak w ciemnościach kocie.
Czasem się skupią, czasem się rozbiegą;
I tu i owdzie badają ciekawie,
Niby nie rade, i rade zabawie;
W ich niepokoju coś dziwnie straszego.
Wilki pod krzami czają się gromadą:
A w gęstwie wyższej nocnych ptaków stado.
I wszyscy w płomień wpatrują się święty,
Jakby go w oczy na cały rok brali;

Opodal węzów różno-barwe skrety.
Swieci odblaskiem zwierciadlanej stali,
Więszy nad inne, i cudnej piękności,
Wąż, co ma grzebień złocistej jasności;
Królem on węzów, znany u górali.²⁸⁾
A w większym mroku widziadła człowiecze
Na widmach końskich mkną się lasem chyżo;
Strzały na plecach, u bioder ich miecze,
Czasem nad brzegi lasu się przybliżą,
I groźnym wzrokiem strzelą przez drzew śpilki.
Oko ich wążkie, jako ślad iskierki.
I pierś i głowa, jak w owcy kołtunach.
Gdzie się przybliżą, odezwą się wilki,
Sowa ciekawie zaziera przez świerki,
I wrony krążą w śmiertelnych całunach.
Tu się pokażą, tu nikną w mrok głuchy;
A zawsze szybko i cicho jak duchy.
Nieżywa głowa skacze w ślad za niemi:²⁹⁾
Z okiem rozwartém, z ustami ściętymi,
Zdaje się ciągle śpiegować ich ruchy.



To długie włosy jak skrzydła roztoczy,
I bystrym ptakiem zagwiżdże w gęstwinie,
To znowu w skrzele długie włosy zwinie.
I rybą idzie w podziemne głębinie,
Aż znów z pod ziemi jak z wody wyskoczy.
Ależ bo w ówczas, ziemio staroświecka!
Dzisiejsze dziwy dziwami nie były:
Grały widomie niewidome siły,
I pilnowały człowieka jak dziecka.
W powietrzu, w drzewach, w kamieniu, pod wodą,
Krewne spólczucie ludzie znajdowali:
Bo nie gardzili na ówczas przyrodą,
Bo ją jak matkę znali i kochali.



cichła powoli dziwnych głosów walka,
A koło stosu powstał okrzyk: „Salka!
Salka nam teraz zaśpiewać powinna.“
Na to wołanie wybiegła góralka,
Smukła jak jodła, niby sarna zwinna;
Żywe jój oko gra nurtem płomienia,
Śpiew jój słowiczy dzwoni od niechcenia,
A jednak skały zdaje się przesywać,
A jednak światłem zdaje się rozlewać.
Cóż gdy dla śpiewu strón gęśli poruszy?
Wtenczas myśl pieśni, smutna, czy wesola,
Wylata kształtem czarta lub anioła,
Porywa serce i tańczy po duszy.
Salka gęśl wzięła; przygrywek jój krótki;
Siada przy starcach, pojrzy po drużynie:

„Cóż wam zaśpiewam? o chmurnej dolinie!“³⁰⁾
I tak zaczęła bez kobzy i dudki:

Rozkoszna, jedyna,
Pochmurna dolina;
Dla całych Tatrów ponętna:
Lecz lasy i skały,
W krąg ją opasały,
I bramą z głazów zamknięta. —

Rozkoszna, jedyna,
Pochmurna dolina:
Od całych Tatrów kochana;
Lecz na nięj mgły gęste,
I dęszcze w nięj częste,
Dolina często sflakana.

Bo w skalnej siedzibie,
W Dunajca kolebie,
Panuje straszny duch-potwór;
Zgrzybiały zazdrośnik,
Dunajca miłośnik,
Wciąż patrzy za nim przez otwór.

Poczwara złośliwa,
Szaleje do dziwa,
Jak tylko weźmiesz mu wody.
Za krople ztąd biedną
Piekielne bezedno
Potokiem wre niepogody.

Siedziba szatana,
Skarbami zapchana:
W nięj srebro, złoto, jak śmiecie;
Nie złota duch patrzy,
Od złota skarb rzadszy
Tam leży — wieczne tam życie.

Kto dosyć wytrwały,
Aż w głębią pójść skały,
I na strach mocną ma głowę, —
Ten za swoją dzielność
Ma tam nieśmiertelność,
I bierze skarbów połowę.

Lecz ducha złość wściekła,
Zatrzęsie dnem piekła,
Jak tylko drzesz się pod skałę;
Opada ulęwa,
Wiatr lasy wrywa,
Głaz pęka, Tatry drżą całe.



udnie śpiew dzwonił w zasłuchaném
gronie;
Cudnie się błakał echem rozbudzoném.
Same niebiosa przechyłały skronie,
Rzęśniej gorzały licem ugwieżdżoném.
Ogień Sobótki, jak południe, pała;
Na szczycie nieba północna drży zorza;
Rozdźwięk strun zagasł, spoczęła młódź hoża;
Poważnych starców rozmowa ustała;
I było chwilę, jakby śmierć powiała,
Jakby świat dumał pół-nocną modlitwę.
Tylko Janosza spojrzenie się rwało,
Duszą, w spojrzeniu, w niepokoju całą;
Rwało, na duchów tajemniczą bitwę.
Kędy pod lasem, w przymroczonej łunie
Król węzów świetnie złoty grzebień jeży,
Tam, głębięj, potwór na konia się sunie.

Stanął, przez chwilę śledzi okiem węża,
Potém łuk bierze, naciąga i mierzy.
Wąż się podnosi, łeb w górę wypręża,
Połyska wieńcem i groźnie zasyczy.
A w tém u łuka struna zaskowyczy,
Strzała zniknęła, dumny wąż upada,
Padając świsnął: od onego świstu,
Z drzew przełęknionych leci chmura listu,
A zewsząd węzów i gadzin gromada,
Z liści, z pod liści wysuwa się błyskiem,
Pnie się na konia ze sykiem i piskiem,
Dosięga jeźdźca, chwyta w sto obręczy,
I wszystko razem w dół się obaliło.



Krótko koń wierzga, krótko jeździec jęczy:
Zniknęli oba pod węzów mogiłą.
Pisk, jęk, gwizd, łoskot! przykra to muzyka
Dla ciszy, którą dźwięki strun wypieszczą.
Dziewicze koło ciaśniej się zamyka,

Wstrzęśli się meże mimowolną dreszczą;
Popłoch po wszystkich obleciał widomie.
Cyt! po gęstwinie znowu się coś łomie;
Niepewne oczy w gęstwinę patrzyły;
Szelest się zbliża, z gęstwy trzój wybiegli;
Każdy na szczudle, jakie czasem służy
Tutejszym ludziom do przedszej podróży.
Radośnie klaśli ci, co ich postrzegli:
„To Ludek, Ludek! długo nam żądany!“
„Haj! haj!“ zawołał Ludek, syn Michała,
Z rodu Garoszów; pierwszy, gdzie są tany;
Rej wszem pieśniarzom, Podhalaanom chwała,
A młody dziedzie na miłą polaną,
Gdzie skały, zamkiem zakopańskim zwane.³¹⁾
Wieść o nim biega, że przy wody szumie,
W którym się huśta Dunajec maleńki,
Znalazł dźwięk i myśl do pierwszej piosenki:
Dziś setne śpiewać i sam składać umie.
Piszczalkę jego słychać wśród tysiaca,
Piosenka jego tak w serce idąca,
Że starce nawet z łzami myślą o niej,
Że samo echo przeciąglój nią dzwoni.
Każdy rad, każdy słucha go ciekawie,
I on też chętnie przytomny zabawie,
Kędy za stare dzieje odśpiewane,
Łzy i oklaski może wzięść w zamiane.
Wszyscy w głos wielki witali go radzi:
„Cóż Ludek powie? z kąd ich Bóg prowadzi?“³²⁾
Niepokój biega w spojrzeniach pieśniarza:
„Niech wam Bóg szczęści!“ pomieszany powie:
„Ją wraz z Maniowój. Licho nam zagraża,³³⁾
Tatar na nasze następuje zdrowie.

Bądźcie baczniemi. Na mocnym Czorstynie,
Ode-dni kilku, przez rozkaz Starosty,
Kazano czuwać zamkowej drużynie;
Zawarto wszystkim i bramy i mosty!“ —
Starzy dumali; lecz młodzi górale
Toporki w górę cisnęli zuchwale,



I zawołali: „Co? w hałach Tatarzy?
Któż-to na nasze hale się odważy?
Kto się odważy na te bory, głązy,
Na te topory, bodaj na te razy?“ —
I groźnie wstrzęśli zaciśnione pięście.



le Kiczora, co rzecz widzi zdrowo,
Do serc gorących to powiedział słowo:
„Powoli dzieci! wielkie to nieszczęście,

Ten dziki Tatar, brzydszy od szarańczy,
Już on nie dzisiaj, jak świat wielki tańczy.
Kiedy z państw przegnał Kingę świątobliwą,³⁴⁾
To i przez nasze wąwozy przejść zdoła! —
— „A czy z nich wyjdzie?“ odparła młodź żywo;
„Bawmy się lepiej!“ wołano do koła;
„Ludek też naszój pomoże ochocie.
Przy ich śpiewaniu zapomnim o trwodze;
Ludku śpiewajcie!“ — pieśniarz był w kłopotcie,
Przystał nakoniec: „Spieszno ja przechodzę;
Ale, co mogę, zostawię po drodze.
Strachem was witam, w strachu was porzucę,
O mnichu, bracia! o mnichu zanucę!“

Gaśnie zachód na obłokach;
Gwiazdy łamią się w potokach;
Kwiaty zroszone do snu opadły;
Lasy ściemniałe dumać zasiały;
Drzymie ziemia cicha,
Nic nie uśpi mnicha.

* * *

Przez sen mówią spiące góry;
Lśni księżycem gład ponury.
Próchno się ogniem umarłym błyszczy,
Sowy hukają, nietoperz piszczy;
Ślepa ćma się snuje,
Wszystko mnicha czuje.

* * *

Mnich posuwa lotem kozy,
Po przepaściach, przez wąwozy.
Na sam szczyt drzewa śmignie wiewiórką;
Krzaki najgęstsze przemknie jaszczurką;
Z głazu, mchem wyśliźnie,
Z wód, łososiem bryźnie.

Na wyżynie, na głębinie,
W wązkiej jak włos rozpadlinie,
W promyku rosy, w fijołka woni,
Wytryśnie widmo, wiatrem pogoni:
Gdzie nie pomyśl, zajdzie;
Gdzie się nie skryj, znajdzie.

* * *

Nie pamięta żaden żywy,
Kiedy wszczęły się te dziwy,
Kiedy się skończą, któż zgadnąć może?
Potłum to licho, prosimy, Boże!
Mocą krzyża swego
Zasłoń nas od niego.



j dzieci! z mnichem nie trzeba żartować!
Rzekła Plewina, staruszka ostrożna:
„Kogo przydybie ta mara pobożna,
Lepiejby temu żmiję pocałować.
Spotkanie mnicha tego narobiło,
Że Janosz żyje Bóg wie po jakimu!“
— „Jakże to było? jakże to tam było?
Powiedźcie, matko; będziem radzi temu:
Tój całej sprawy nie jeden z nas nie wie.“
— „Ludek nam powie!“ rzecze Salka żywa,
„Oni go nieraz wspominają w śpiewie:
Oni to znają. Niech ludek zaśpiewa.“
Na błagające spojrzenia dziewczyny,
Na zaklinanie skupionej drużyny,
Ludek rad nierad ku ognisku wrócił
I z wtórem kobzy tak znowu zanócił:

Ranna jaskółka na juhasów wola;
Pstrokacieją Wyżni boki,
Czego Wyżnia tak pstrokata?
Czy jaki wichur dmie w Gemont wysoki, ³⁵⁾
I na sztuki go rozmiata?
To Janosz swój statek rozpuścił do koła.



Dzwoni fujara, i śpiewek na drzewa,
Idzie górą w sto śpiewek.
Któż te cudne pieśni składa?
Czy za górą sto góralskich dziełek
Stu góralom odpowiada?.....

Tu pieśniarz uciał, pod palcem kobziarza,
Pękły z dalekim jękiem wszystkie druty.
Ze środka lasu wypadł wichur luty:
Wyrywa jodły, słupem liści tarza,
Płomienie stosu kręci wiru śrubą;
Mroczy polanę chmurą dymu grubą.....
Każdy się tulił, wszyscy się pytali:
„Czem' struny pękły? z kąd ten wichur luty?
Czyście słyszeli, jak oto jętko w dali?
Byłż to echo, kiedy pękły druty?“
Wszyscy pytają, a nikt nie odgadnie.
Lepiej to widzi Janosz ze swojemi:
Zaledwie wichur z pod lasu wypadnie,
Jak przed gadziną skoczył on od ziemi,
Wrzasł przykrym jękiem, zbiegł na brzeg opoki,
Wyciągnął palec, rozwarł wzrok szeroki:
„Czy wy widzicie, widzicie w kapturze?“
Opyszki milczkiem spojrzeli mu w oczy,

Potém po sobie z uśmiechem spojrzeli,
Bo nie widzieli, tylko wielką burzę,
Tylko słup wicheru, co liśćmi toczy,
To nie ma dziwu, że się w duchu śmieli.
Janosz umilknął; drżały w piersiach słowa;
Oczy w słup stały, zawsze w jedną stronę!



Widziadło stąpa liściem otulone,
Pod wielki kaptur całą głowę chowa;
Na piersiach leży długa broda siwa,
A trupia głowa siedzi na ramieniu.
Widziadło wicherem stąpa ku płomieniu:
Głowa z ramienia ptakiem się porywa,
Leci éną w ogień, uderza piorunem,
I stos rozwała; widziadło brodacza,
Stos rozburzony poważnie przekracza,
Wlecze za sobą dym i skry całunem,
I burzę coraz dalszą w lasach znika.
Wszystko ucichło. Janosz się odcyka,

Jak po śnie strasznym; przeciera powiekę,
Niepewnie w okrag poziera i słucha,
I sam do siebie przemawia po cichu:
„Czyż to ty byłeś? ty nieszczęsny mnichu?
Ciebie widziałem? haj widziałem ducha.
Nieszczęście niesie! bliskie czy dalekie!
Biada nam! komu? mnie czy im? pobieję,
Polecę do nich, zawołam, ostrzeżę,
Niech do dom idą, niech będą gotowi.
A będąż wierzyć? komu? opryszkowi?
Bajce o strachu? hej Janoszu! w drogę,
Tu niebezpieczno. Czekaście! nie mogę,
Nie mogę odejść! ich tutaj coś spotka,
A wspólna dola zawsze, zawsze, słodka!“
Usiadł i czeka, niechaj co chce będzie.

Popłoch górali przewiał w burzy pędzie;
Straszny to wicher, ale wzdry przeminął.
Stos gore znowu. Gdzież to Ludek zginął?
Czy nie ze sobą burza go porwała?
„Gdzież tam! „ktoś woła!“ gracz to syn Michała.
On rad, że wreszcie od was się wywinął.
Zaledwo wicher ognisko rozmiotął;
On się na szczudłach co żywiój wydzwigał,
Aż zatrzeszczało, tak dalej pośmigał,
Zawołał: „reta!“ a pewno chichotał.“³⁶)
— „Niech sobie lecą na szyi złamanie;
Jakoś i bez nich będziem mieć śpiewanie,“
Zawoła Salka, „niechaj lecą sobie,
Ja wam na oko, jak tam było zrobię.

Wy też Magiera świadom rzeczy całej.
Ja będę Kasią, i wedle téj skały,
Będę zawodzić i jagody zrywać.
A wy Magiera pod bukiem usiądźcie,
Będziemy sobie wzajem przyśpiewywać.
A wy Nasieka, starym mnichem bądźcie,
Skryjcie się w gąszczu, i jak strach na Kasię,
Wpadnijcie na mnie; ja powiem o czasie.
No pamiętajcież!“ I w zaroślach ginie.
Antosz Nasieka w gunię się ubiera
Jak w kaptur mniszy, i siada w gęstwinie,
A z pod buczyny tak nuci Magiera:

Cobym ja dał! cobym ja dał!
Żebym we dnie i we mroku,
O zachodzie i o świcie,
Żebym całe, całe życie
Miał cię Kasiu przy swym boku:
Pół méj trzody jabym dał!

Magiera przestał i dudą wygrywa,
A za drzewami dziewczę się odzywa:

Miej dla siebie trzody swoje,
O bydło nie stoję.

* * *

Cobym ja dał! cobym ja dał!
Żebym twoje piersi białe,
Jako wzgórkę uśnieżoną,
A jak puszek wypieszczone,
Mógł dotykać życie całe.

Spiewak znów ucichł i przygrywa w dudy,
A dziewczę z gęstwy nuci jako wprzódty:

Miej dla siebie łąki swoje,
O trawę nie stoję.

* * *

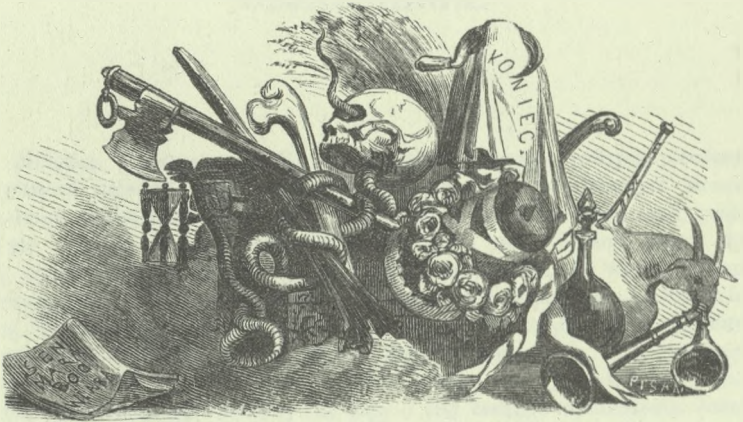
Cobym ja dał! cobym ja dał!
Żebyś u tego zarzewia,
Na te łóżko, jak w kolébkę,
Złożyć chciała ciaiko gibkie,
Jako pręcik kozo-drzewia. *)
Jabym siebie tobie dał!

Długo śpiew krąży po przestworzu cichém,
A od gęstwiny leci głos ze śmiechem:

Nie chcę trzody, nie chcę pola,
A twoja bądź wola.

Pieśń się skończyła, starzy lubowali,
Młodzież to piosnkę, to pieśniarkę chwali;
Wszyscy czekają, co nastąpi dalej.
Oh! i mnich wreszcie podnosi się, mruczy.
Nagle do koła zatętni, zahucz;
Salka wypada, krzyczy co tchu staje.
Utraca siły, i mdleje wśród drogi.
„Dobrze udaje!“ krzyczą; „jak udaje!“
Ale wnet radość wrzasła gwarem trwogi:
Stęknęły głazy, trzasnęły konary,
I jezdne zewsząd suną się poczwary;
Suną się błyskiem, zawodzą ponuro,
I nakrywają góralów strzał chmurą.
„Tatarzy, przebóg!“ zagrzemiał głos Kiczory.
„Watażki w rękę! do góry topory!
Górale do mnie! kto zdolny na opór,
Za mnie tu! za mnie, kobiety i starzy!“
Wystąpił naprzód, trzykrotnie zaświta,
Wypuści w górę, jak głównię, swój topór,

Pół-kolem obok staje młódź barczysta,
A naprzód lecą i wrzeszczą Tatarzy,
Po owczych kudłach, otuleni nocą,
A ognie stosu po szablach migocą.



OBJAŚNIENIA.

(1)

Sobótka. Uroczystość ludów sławiańskich, znana w różnych plemionach pod różnemi nazwami. Sięga najdawniejszych czasów, a w niektórych stronach trwa dotąd. Przypadała 24 Czerwca. Mieszkańcy jednej lub kilku osad, gromadzili się w pewne miejsce, nakładali wielki ogień, tańczyli około niego, śpiewali, czynili rozmaite wróżby, to skacząc przez płomień, to wianki na wodę puszczając. Były to istotne sławiańskie igrzyska, lub święto ognia — odziane uroczystą tajemniczością religii i całym urokiem poezyi. Pojąłem ją w tym duchu i wystawiłem w niniejszej powieści. O Sobótce wspominają nasi kronikarze; z powodu Sobótki są pieśni Jana Kochanowskiego, które jednak przez naśladownictwo cudzoziemskiej literatury nie dają o nią żadnego wyobrażenia. Jeszcze jedna uwaga względem Sobótki nie będzie zbyteczna. Zdaje się że Sobótka, w czasach przynajmniej późniejszych, znaczyła to samo, co dzisiejszy obcy wyraz *wigilia*. Sobota była dniem poprzedzającym największe święto, jakim jest niedziela, wcale więc logicznie nazwano dzień przed mniejszemi świętami Sobótką czyli małą Sobotą mniejszych uroczystości.

(2)

Przedmiot powieści, z której wyjęta jest niniejsza Sobótka, odnosi się do czasu napadów tatarskich za Bolesława Wstydlwego; ta powieść opiera się na podaniu następującem: Część Tatarów plądrujących Polskę uderzyła na Tatry. Mieszkańcy ustępowali przed liczniejszym wrogiem aż do doliny znanj dzisiaj pod nazwiskiem Kościeliska; skorzystali z położenia; osadzili góry co ją otaczają ludźmi, i przygotowali na wierzchołkach kłody drzew i wielkie kamienie. Skoro zaślepieni Tatarzy weszli na dolinę, górale łatwo przecięli im odwrót w jednym bardzo wązkim przystępie, i w tężej chwili zaczęli na nich walić drzewa i głazy. Tatarzy tym sposobem do szczytu byli zniszczeni, a dolina od mnóstwa ich szkieletów (kościelisk) otrzymała na zawsze nazwisko Kościeliska, jakoby doliny szkieletów. — Ślady równj porażki widać jeszcze dzisiaj na dolinie zwanj Biała-woda, leżącj pod Gewontem, przy drodze z Zakopanego do Kościeliska. W istocie, wielkie mnóstwo rozrzuconych po niej ludzkich kości daje do myślenia każdemu, ktoby nie wierzył w powyższe podanie góralów.

(3)

„Po wzniosłej Wyźni osuwa się szczycie.“

Wyźnia, góra w pasmie leżącym nad Nowotarską doliną, równoległe do skalistych, najwyższych Tatrów. Stoi ona na gruntach wsi Łopusznej. Jój obraz w powieści wiernie jest wzięty z przyrody.

(4)

„Z niebios podhalskich uchodzi ulewa.“

Tatry najwyższe co są na granicy Węgier i Galicyi, noszą u mieszkańców tamecznych nazwisko hal, od hal czyli pastwisk znajdujących się między niemi; dla tego podnóże Tatrów zowie się podhalem, a jego mieszkańcy Podhalanami. Nazwisko to odnosi się do niewielu wsi, leżących pod samemi Tatrami.

(5)

„Sztandarem tęczy od Pienin powiewa.“

Pieniny, najwyższa góra skalista. W témże pasmie co i Wyźnia. Leży nad samym Dunajem. Słynie jako przytułek Ś. Kunegundy w czasie tatarskich wojen, oraz szczątkami jój zamku.

(6)

„Nucaą juhaski, hukają juhasy.“

Nazwisko pasterzy u Tatrzańskich Sławian.

(7)

„Wyźnia postawą Kluczek nie dosięga.“

Kluczki, góra na granicach łopuszańskich, najwyższa w swojém pasmie po Pieninach. Niepospolitój rozległości widok ją otacza. Na dniu pogodnym można z niej widzieć Kraków o 11 mil oddalony.

(8)

„Na gród olbrzymi, olbrzymki Łomnicy.“

Łomnica najwyższa w Tatrach góra. Widać ją w całej okazałości od strony Węgier.

(9)

„Lśni nowotarskiej doliny opona.“

Nowotarską doliną zowie się kilkunasto-milowa przestrzeń pomiędzy Tatrami, od leżącego na niej miasteczka Nowego-targu.

(10)

„Po której stopniach nurt Łopusznej zchodzi.“

Łopuszna jest to właściwie potok, utworzony z kilkudziesięciu mniejszych; źródło jego na szczycie Kluczek, a ujście w Dunajcu pod wsią Łopuszną.

(11)

„Słynie jak Krywan.“ —

Krywan, znajomy nam mniej-więcej, po Łomnicy najwyższy szczyt w Tatrach. Z Galicyi widać go tylko ode wsi Suchy-ząb zwanój.

(12)

— „To moja polana.“

Każda łąka w górach między lasami.

(13)

„Statku nie mogły pomieścić koszary.“

Górale tatrzańscy choć najwięcej do Krakowiaków zbliżeni, mają przecież mnóstwo oddzielnych, właściwych sobie wyrazów. Między innemi bydło zowie się u nich statkiem; rogate, gruby statek; nierogate, drobny statek; domowe ptastwo, gadzina i t. p.

(14)

„Wszem smakowały mój ser i żętyca“

Góry karpackie w ogólności słyną z tego nazwiska serwatki. Jest to właściwie mleko wszelkiego rodzaju, pomieszane i zwarzone przy ogniu.

(15)

„Największy płomień jarzał z méj bacówki.“

Bacówka, buda pasterska w górach.

(16)

„Kasia najradnień szła tu na borówki.“

Jagody leśne na drobnych krzewinach, zwane gdzieindziej czernicami

(17)

„Mnich! mnich! krzyknęła.“ —

Widziadło mnicha, grające w tej powieści znaczną rolę, objawiało się

w samej rzeczy w tych okolicach przed laty jeszcze kilkadziesiąt. Powstawało najczęściej z wody. Inne o niem szczegóły zawarte są w samej powieści.

(18)

„A pod wieś prawie, do Dziwo-żon jamy.“

O Dziwo-żonach sama powieść obszernie mówi, a zawsze na podstawie podania. Widziałem pod Łopuszną ich pieczarę, od lat kilkunastu zawałoną kamieniami.

(19)

„Rzekłem: haj! pójdę.“ —

Haj! u góralów słowo twierdzenia: tak, tak jest!

(20)

„Kobzy i gęśle, fujarki i dudki.“

Niektóre z tych narzędzi dotąd się znajdują między góralami, innych używanie przeminęło; alem je wprowadził, bo myślałem o wieku XIII, a wprowadziłem ich podług opisu z dawniejszych czasów, i tak: dudami zwała się wprawiona dudka w skórzany mieszek, który dla wydania głosu przyciskał się pod pachą. — Kobza, rodzaj gitary z kilką drucianemi strunami; — fujarka, piszczałka pasterska, flet, dmie się w otwór u wierzchu, — fletnia, z boku; gęśl tylko pozwolilem sobie wyobrazić taką, jak ją dzisiaj widzujemy.

(21)

„Zamożny gazda na wielkiej polanie.“

Gazda w dyalekcie góralskim to samo, co u nas gospodarz, kmięć.

(22)

„Z góry przezwanéj mianem jego rodu.“

Kiczora, góra łącząca Wyżnię z Kluczkami; pośrednia między obiema co do wysokości; zowie się inaczej Ciaski.

(23)

„Więcej watażek niż ma owiec w trzodzie.“

Watażka, siekierka góralska, na długim drzewcu osadzona, służy razem do podpierania się; zowią ją także ciupaga.

(24)

„Kiedym przemierzał szlak do Carogrodu.“

Przemysł i handel zawodzi górali w dalekie kraje.

(25)

„Dziewki z kolei zawiodyły tę śpiewkę.“

Powiniem raz na zawsze upewnić czytelników, że wszelkie podania. wyłożone w powieści, są wiernym przekładem podań krążących pod Tatrami.

(26)

„Słodyczkę jeść dadzą.“

Jakie to ziele, które Dziwo-żony bardzo lubią? o tém przekonać się nie mogłem.

(27)

„Jaką tam gęźbę wyprawują dziwy.“

Gęźba, stary wyraz, to samo co dzie muzyka.

(28)

„Gacki pisnęły, w gwałt huknęły sowy.“

Gacek, nietoperz.

(29)

„Królem on węźów znaczy u górali.“

Podług górali, wąż ten istnieje rzeczywiście. Ma mieć barwę nadzwyczajnej piękności, a na głowie grzebyk do korony podobny. Napastowany, wydaje gwizd donośny, a tysiące węźów przybywa mu na pomoc.

(30)

„Nieżywa głowa skacze w ślad za niemi.“

Ta głowa bez reszty ciała, obrośła bardzo długimi włosami, błąka się do dziś dnia po łopuszańskich polach.

(31)

„Cóż wam zaśpiewam? o chmurnej dolinie.“

Kościelska dolina ma dzisiejsze nazwisko dopiero od porażki Tatrów; wprzód więc inne mieć musiała; dowolnie nadałem jój miano: *pochmurna*, z przyczyn w pieśni wyłożonych. — Ze źródła, o którym pieśń wspomina, wypływa Dunajec czarny.

(32)

„Gdzie skały, zamkiem zakopańskim zwane.“

Nieraz można między górami trafić na masę opok, wyobrażających w całości swojej obwarowane miejsce. Do rzędu takich zjawisk należą skały w Za-

kopaniem, i z tego powodu zamkiem zakopańskim zwane. U ich podnóża wytryska w kształcie kilko-sażniowego wodospadu źródło białego Dunajca.

(33)

„Cóż Ludek powie? z kąd ich Bóg prowadzi.“

W wielkiej części pokoleń sławiańskich, zaimek użyty w trzeciej osobie liczby mnogiej, znaczy uszanowanie dla tego, do kogo się odnosi. Górale służą za przykład tego.

(34)

„Ja wraz z Maniowój.“ —

Ogromny garb tego nazwiska w tymże pasmie co Kluczki i Pieniny. Wieś Maniowa leży niedaleko tej góry na drodze z Czorstyna do Nowego-targu.

(35)

„Kiedy z państw przegnał Kingę świątobliwą.“

Jest tu mowa o Ś. Kunegundzie, uciekającej przed Tatrami do Węgier.

(36)

„Czy jaki wicher dmie w Gewont wysoki.“

Gewont, góra uderzająca kształtem nagiej ściany, leży między Zakopanem a Kościeliskiem.

(37)

„Zawołał: „reta,“ a pewno chichotał.“

Reta, to samo co gwałtu, wyraz ludu polskiego.

(38)

„Złożyć chciała ciało gibkie,
Jako pręcik kozo-drzewia.“

Kozo-drzew, rodzaj krzaczystej sosny. Rośnie w najwyższych roślinnych strefach. Ściele się po ziemi tak gęsto, prętami tak giętkimi, że jak w sieć można się weń uwikłać.



Przedruk techniką fotooffsetową
wykonany w Drukarni Narodowej w Krakowie
z egzemplarza udostępnionego
przez Bibliotekę Narodową w Warszawie.
Wydano w nakładzie 1000 egzemplarzy
na zamówienie Zrzeszenia Księgarstwa.

Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe
Warszawa 1983

WAiF *Reprint*

F Nr 304340

